

Odrodzenie idealizmu politycznego

Tadeusz Gluziński



Cyfrowa Biblioteka
Myśli Narodowej

Tekst zdigitalizowany i opublikowany został w ramach projektu "**Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej**". Więcej o samym projekcie oraz innych naszych publikacjach możesz przeczytać na stronie cbmn.pl

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Gluziński, *Odrodzenie Idealizmu Politycznego*, Dom Książki Polskiej, Warszawa 1935

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)

SPIS TREŚCI

Od autora	4
TYTUŁ MORALNY WŁADZY	6
<i>Ruch narodowy a nacjonalizm.....</i>	<i>7</i>
<i>Naród i państwo.....</i>	<i>12</i>
<i>Rządy demokratyczne.....</i>	<i>16</i>
<i>Rządy autorytatywne.....</i>	<i>24</i>
<i>Rządzący i rządzeni.....</i>	<i>30</i>
<i>Hierarchia a wolność osobista</i>	<i>36</i>
ETYKA W ŻYCIU PUBLICZNYM.....	42
<i>Polityka a etyka.....</i>	<i>43</i>
<i>Idea a doktryna.....</i>	<i>51</i>
<i>Wiedza na usługach polityki.....</i>	<i>58</i>
<i>Instynkt osiadłości.....</i>	<i>65</i>
<i>Prawo wobec etyki i obyczajów.....</i>	<i>71</i>
<i>Wychowanie publiczne w służbie idei.....</i>	<i>77</i>
ZAKOŃCZENIE	82

Od autora

Zamglony wzrok nie daje należytej perspektywy w ocenie rzeczywistości i w działaniu. Przed dziesiątkami lat odebrano narodom chrześcijańskim to, co stanowiło ich siłę: wiarę. Wiarę religijną, etykę chrześcijańską, idealizm. Proklamowano nowe bóstwo, które nazwano „bóstwem Rozumu”. Postawiła je na piedestale już Wielka Rewolucja francuska, składając mu ofiary na zbezczeszczonych ołtarzach katolickich kościołów. W XIX w. rozum zajął zwycięsko miejsce Boga, a stworzona przezeń wiedza miała stać się wiarą przyszłości. Etykę chrześcijańską zastąpiło prawo, ideę - wymędrkowana doktryna. Odtąd człowieka miał doskonalić „postęp”. Stało się tak, jakby narodom o cywilizacji chrześcijańsko-rzymskiej wyjęto pod chloroformem kościec i wstrzyknięto na jego miejsce jakąś galaretowatą masę. Póki panował dobrobyt, ogólna „prosperity”, póki narody mogły błogo odpoczywać w pozycji leżącej, poty nie odczuwały braku kręgosłupa; gdy jednak groźne położenie poczyna naglić do czynu, gdy nagle trzeba zerwać się i działać, wtedy okazuje się, że galaretowata masa nie podtrzyma mięśni. Naród się rozłazi, staje się kupą mięsa bezkształtną i bezradną.

Dziś w Polsce panuje beznadziejność. Ludzie, zniechęceni walką z przeciwnościami, pogwałceni przez kryzys gospodarczy i znęcani dolegliwościami codziennego życia, przestają wierzyć w przyszłość. Rezygnują z walki o lepsze jutro. „Może być gorzej, ale chyba nigdy nie będzie lepiej” - powiadają sobie. Teraźniejszość odebrała im wiarę w Polskę, splamiła błotem ideały, które dotąd zdołali ustrzec przed zbrukaniem i przechować na dzień duszy. Gdzie spojrzeć - bierność. Grzęźniemy w pesymizmie.

Skąd to zniechęcenie? Czy naród, który tak niedawno wydobył był z siebie takie skarby ofiarności, odwagi i wiary, który ma za sobą obronę Lwowa, powstanie śląskie i armię ochotniczą, ma tytuł do bezradnego opuszczania rąk? W ciągu tych kilkunastu lat dokonała się w nas przemiana wprost przerażająca. Z narodu, pełnego energii zdobywczej i optymizmu, staliśmy się niespodzianie zrezygnowanym, fatalistycznym i biernym ludem Wschodu.

Tego upadku duchowego, jaki przeżywamy, nie da się wyjaśnić jakimś zbiegiem zdarzeń zewnętrznych, ani jakimś mechanicznym działaniem obcych, wrogich sił. Zło musi tkwić głębiej, musi tkwić w nas samych. Jeżeli nie dostrzegamy go dziś z należyłą wyrazistością, jeżeli nie widzimy jasno wyjścia - to gdzieś musi być jakaś zasłona, która zakrywa nam oczy. Póki jej nie zedrzymy, będziemy błędzić bezradnie.

Książka moja chce wskazać na to, że uzdrowienia stosunków u nas nie można dokonać mechanicznie, przez jakiś luźny akt wyzwolenia. Musimy zmienić radykalnie istotne podstawy

naszego życia politycznego, gospodarczego, kulturalnego, przebudować nasze mieszkanie tak, aby przestało być polskie tylko z nazwy.

W książce mojej nie mogłem oczywiście pominąć roli tajnych związków, które przez propagandę pewnych doktryn wywarły ogromny wpływ na bieg dziejów w XVIII, XIX i XX stuleciu. Nie należy jednak przypuszczać, jakoby te związki wpływały na życie publiczne przez jakiś system tajnych rozkazów czy zakazów. Ich główną bronią była zawsze - obok niewidzialnej zmowy - propaganda pewnych myśli i doktryn, które kierownictwo uważało za nadające się do osiągnięcia zakrytych celów. Wytwarzano więc pewne nastroje zbiorowe, pewną atmosferę, jakby szkołę psychiczną czy środowisko intelektualne, promieniujące na zewnątrz. W ten sposób pomysły i doktryny cudze lub własne, choćby były nieżywotne i sztuczne, zorganizowana propaganda i sugestia zbiorowa szczepiła szerokim kołom, aż wreszcie ogół do nich przywykał z latami do tego stopnia, że już trudno mu było inaczej myśleć. Tymi metodami tajne związki międzynarodowe wypaczały naturalne ramy życia w sposób dla siebie dogodny. Po tych uwagach sądzę, że nikt przy czytaniu mej książki roli tajnych związków ani roli żydostwa nie będzie pojmować mechanicznie, bo wiodłoby to -jak każde fałszywe uproszczenie - do poważnych nieporozumień.

Nie należy również oczekiwać, jakobym w książce mojej miał dać jakiś program zwarty i skończony lub choćby jego zaczątki. Nie było to wcale moim zamiarem. Albowiem gmach naszego życia publicznego zmurszał aż do fundamentów i każda trwała i rzetelna reforma do nich musi sięgnąć. Zadaniem mej książki w mych zamierzeniach - to właśnie zstąpić w te podziemia, ocenić wartość podwalin, na których wznosi się trzeszczący budynek dzisiejszej rzeczywistości i wskazać bez obłonek, że trzeba dno rozgrzebać, jeżeli się pragnie zacząć dzieło odbudowy. Będę rad, jeżeli książka moja przyczyni się choćby w najskromniejszej mierze do ułożenia pierwszych zdrowych cegieł pod gmach nowej Polski, naprawdę odrodzonej.

Warszawa, dnia 2 kwietnia 1935 r.

TYTUŁ MORALNY WŁADZY

Ruch narodowy a nacjonalizm

Nie tak to dawno liberalizm i socjalizm święciły triumfy wśród narodów europejskich. Kto nie był liberałem, temu wolno jeszcze było być socjalistą; kto nie mieścił w ramach tych dwóch prądów swego poglądu na życie publiczne, ten w państwach monarchicznych mógł jeszcze bronić resztek przeszłości i zaliczać się do konserwatystów; wszystko inne uchodziło już bezapelacyjnie za zwykłe barbarzyństwo bez obsłonek.

Liberał wierzył w pierwotną dobroć natury ludzkiej i prawo do wolności uważał za przyrodzone uprawnienie człowieka; stąd każdy ustrój społeczny, w szczególności zaś ustrój państwowy, był dlań tylko złem koniecznym, z którym należało się pogodzić, które jednak w głębi duszy potępiało się zawsze i przyjmowało z niechęcią. Usiłował więc ograniczyć państwo do jak najskromniejszego zakresu działania, aby pozostawić jednostce jak najwięcej wolności; przede wszystkim zaś w życiu gospodarczym uznawał bezkompromisowo zasadę zupełnej swobody jednostki.

Zwyrodnienie życia gospodarczego pod panowaniem liberalizmu ujawniło się już w kilkadziesiąt lat po sformułowaniu jego zasadniczych tez; z zasad liberalnych i z rzeczywistości liberalnego świata wywiódł swoje rozumowanie socjalizm, aby stać się w ten sposób odwrotną stroną medalu. Dyktatura proletariatu nie była wcale czymś sprzecznym z założeniami liberalnymi; była właśnie posunięciem wolności ludzkiej do najdalszych granic. Skoro bowiem nie ma w zasadzie żadnych więzów dla wolności ludzkiej, w szczególności zaś hamulców natury etycznej, to cóż ma wzbraniać najliczniejszej klasie społecznej zmówić się i zorganizować, by potem chwycić za gardło wszystkie inne? Bolszewizm, który w pierwszych latach swej władzy urzeczywistnił zasady Marksa, mógł słusznie uchodzić za prawe dziecko liberalizmu tak samo, jak był nim terror Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Tak oto toczyła się na przestrzeni XIX w. walka dwóch „światopoglądów”, pozornie ze sobą sprzecznych i wyłączających się wzajemnie, w istocie jednak wyrosłych ze wspólnego korzenia. Ta wspólność pochodzenia myślowego i wspólność ukrytych sprężyn sprawiła nie tylko, że walka między nimi nie ujawniła żadnej zaciekłości, ale dopuściła nadto wzajemne przenikanie się doktryn; socjaliści stali się po trochu liberałami, zaś liberałowie socjalistami. Razem toczyli wojnę z resztkami monarchicznych ustrojów i przeciw obozom konserwatystów chodzili w zwartym przymierzu.

Przed zjednoczonym atakiem krok za krokiem cofały się szeregi konserwatystów. Zdesperowani obrońcy powalonego na obie łopatki ancien regime'u, owych Okopów Świętej Trójcy, żyli wyłącznie tęsknotą za powrotem dawnych, dobrych czasów, których przeżytków bronili w beznadziejnej walce. Pogotowie ich miało charakter czysto obronny, motorem ich działania był lęk

o przyszłość. Gdy tylko zawodziła ich wiara we własne siły, szli do kompromisów z wrogiem, byle choć na krótki czas okupić spokojne pozostawienie ich na pozycji. Ustępowali przeciwnikom w sprawach istotnych w tej nadziei, że w ten kosztowny sposób zdołają pohamować ich rozpęd zdobywcy. To paktowanie z wrogiem nazwali „hamowaniem z góry”. Od tej pory ośrodki konserwatywne stanęły otworem dla wpływów wolnomularstwa; gdzież bowiem, jak nie w lożach, można było „hamować” najdogodniej, najmniej dostrzegalnie? I tak loże poczęły nęcić przywódców ruchu, nowoczesnych hrabiów Henryków. Zapewniały tolerancję ze strony wroga, a nawet... karierę. W ślad za swymi wodzami zmienił twarz i konserwatyzm i stał się... liberalny.

Wszystkie narody europejskie zostały oderwane od rzeczywistości i zarażone doktrynami. Legitymacją do życia, w szczególności zaś do brania udziału w życiu publicznym, stało się posiadanie określonego „światopoglądu”. Trzeba było koniecznie wyznawać jakiś system, jakąś generalną receptę na wyleczenie wszystkich chorób, wszystkich bolączek społecznych. Myśl okuto w pancerz obowiązujących doktryn, byle ją jak najdalej uprowadzić z krainy rzeczywistości, w której z przyrodzenia króluje zdrowy rozsądek. Aby jeszcze bardziej umocnić niewzruszalność tych doktryn, twórcy i głosiciele ich dołożyli wszelkich starań, by w tym okresie uwielbienia wszelkiej nauki swój „światopogląd” przystroić w poważne, „naukowe” szaty. Pojawiła się literatura pozornie naukowa kierunku liberalnego, socjalistycznego, a nawet konserwatywnego, narodziły się nowe gałęzie „wiedzy, jak socjologia, religiologia, ekonomia społeczna itp.

A jakież miejsce wśród tych doktryn zajęły kierunki narodowe? Poczucie narodowe istniało u ludów europejskich od dawna; atoli pierwsze sformułowania tego poczucia narodowego, ujęcia go jako pewnej prawdy społecznej, należy przypisać rewolucji francuskiej i jej pisarzom. Okres restauracji i świętego przymierza, wysuwając na pierwszy plan w życiu publicznym państwo i dynastie, usunął chwilowo w cień narody; lata walk i rewolucji wolnościowych położyły nacisk na zagadnieniach praw jednostki, a zwycięski pochód socjalizmu skierował uwagę ogółu na problemy ekonomiczne i społeczne. Dopiero następstwa takich historycznych faktów, jak zjednoczenie Włoch i Niemiec, jak bohaterska obrona po pogromie Francji w 1871 r. przejawiając rosnącą samowiedzę u narodów europejskich, dały ponownie pochop do nowych sformułowań. W końcu XIX w. zjawiają się pisarze narodowi we Francji, Włoszech i Niemczech; ci wyraziciele, a poniekąd i twórcy nowych ruchów, wychowani w doktrynach wolnomularskich, sądzą, że prawo do istnienia i widoki na zwycięstwo może mieć tylko taki ruch narodowy, który socjalizmowi, czyli internacjonalizmowi potrafi się przeciwstawić w równie skończonej szacie naukowej, a więc uzbrojony we własną filozofię, historiozofię, a - co w owym czasie uchodziło za najważniejsze - oparty o nauki przyrodnicze. Tak formułowane systemy jako przeciwieństwo internacjonalizmu, czyli międzynarodówki socjalistycznej, nazwano nacjonalizmem. Twórcy ich oddychali od dziecka oparami filozofii pozytywistycznej; przyroda była dla nich bóstwem, jej prawa najwyższym przykazaniem, nieubłagana walka o byt koniecznością żelazną, pochłanianie słabszych przez silniejszych codziennym zdarzeniem życia.

Naród - mówili - to po prostu organizm wyższego rzędu; jedynym kryterium jego działania winien być jego własny interes, pojęty skrajnie egoistycznie. Teoria „*egoismo sacro*”, która dziś jeszcze na wskroś przenika faszyzm, łączy się bezpośrednio z samymi podstawami sformułowań nacjonalizmu.

W Polsce literatura nacjonalistyczna - mimo swych odrębności, wynikłych z ówczesnego położenia Polaków, jako narodu pozbawionego państwa - także nasiąkła wyziewami pozytywizmu. I u nas uznano naród za organizm (bez żadnej przenośni), walczący o byt, podlegający chorobom, a nawet zarazom. Ten naród-organizm winien kierować się w swym postępowaniu li tylko skrajnym egoizmem, jaki obserwujemy rzekomo wszędzie w przyrodzie; Zygmunta Balickiego „Egoizm narodowy” zawierał w sobie przykazania etyczne dla polskiego nacjonalisty.

Dążnością polskich pisarzy narodowych stało się stworzyć system możliwie wykończony i zwarty, możliwie w swym ujęciu „naukowy” i obiektywny. Chłodne, rozumowe traktowanie zagadnień było naturalnym przykazem, wymogiem owej naukowości, w której pławiła się cała Europa. Doktrynie socjalistycznej usiłowano położyć tamę przez zbudowanie doktryny nacjonalistycznej. Socjalistycznemu „światopoglądowi” przeciwstawiono „światopogląd” narodowy.

Taki system nacjonalizmu w Polsce, jak i gdzie indziej, pod grozą utraty swego naukowego charakteru, nie mógł się oczywiście obejść bez definicji naczelnego pojęcia, a więc bez definicji pojęcia narodu; ile na ten temat wyczyniono harców myślowych, by znaleźć potrzebne do definicji słowa, a jak przy tym niekiedy poświęcano zdrowy sens, wystarczy wspomnieć, że przez długi czas czczono, jak fetysza, definicję, mocą której naród był zbiorowością ludzką, osiadłą na pewnym określonym terytorium, posiadającą wspólny język i wspólną historię. Na gruncie tej definicji żydzi, którzy propagowali z początkiem XX w. masowy ruch asymilacyjny swej inteligencji i wchodzili w polskie życie publiczne, twierdzili - przy aplauzie polskich nacjonalistów - że odrębny naród żydowski nie istnieje, nie posiada bowiem ani wspólnego terytorium (Palestyna nie jest takim terytorium, bo mieszka w niej tylko znikoma ilość żydostwa), ani wspólnego języka (ani hebrajski, ani tym bardziej żargony nie są językiem wspólnym dla żydów), ani wreszcie wspólnej historii (boć historia żydów - to niejako historie rozmaitych narodów, wśród których żydzi żyją). Jest to jaskrawy przykład, jak pogoń za „naukowością” i wyssany z łona XIX w. doktryneryzm przesłaniał nawet nacjonalistom rzeczywistość i rozbrajał ruch narodowy w stosunku do istotnych niebezpieczeństw.

Nie trzeba udowadniać długo, że oparty na pozytywizmie nacjonalizm ze swoim czysto przyrodniczym zabarwieniem i ze swym egoizmem narodowym nie mógł z jednej strony stanowić skutecznej odtrutki na doktryneryzm, szczepiony przez łoże, z drugiej zaś strony musiał kontynuować charakterystyczny dla XIX w. rozbrat z nauką Kościoła katolickiego, w szczególności zaś z etyką chrześcijańską. Tak więc ruch demokratyczno-narodowy w Polsce, będący wyrazicielem polskiego nacjonalizmu, trwa około trzech dziesiątków lat w sosie liberalno-demokratycznym, przecież cały obóz narodowy w sejmie głosował w r. 1921 za konstytucją, wzorowaną na konstytucji

trzeciej Rzeczypospolitej francuskiej, tylko bardziej jeszcze „postępową” niż ona, czyli liberalno-demokratyczną. Pierwotny projekt Związku ludowo-narodowego szedł w liberalnym demokratyzmie jeszcze o wiele dalej, niż później uchwalony w sejmie tekst ustawy. Gdy na wiosnę 1921 r. - a więc na rok przed marszem faszystów na Rzym - pierwszy w polskim obozie narodowym wystąpiłem w piśmie przeciw liberalizmowi i doktrynerstwu XIX w., idącemu z łóż i ogłosiłem w „Gazecie Warszawskiej” cykl kilkunastu artykułów pod wspólnym tytułem „Zmierzch liberalizmu”, poglądy moje nie znalazły żadnego echa.

„Jak liberalizm ekonomiczny zrodził etatyzm” - pisałem tam - „tak rozwój społeczny, naoliwiony liberalizmem politycznym i społecznym, zrodził w czasie wojny mniej lub więcej realizowane dążenie do militaryzacji robotników i upaństwowienia pracy. Wolność, równość, braterstwo, wolność konkurencji urodziły przymus państwowy...”. A gdzie indziej: „Czerezwyczałki są ukłonem sowietów w stronę liberalizmu... Ten ustrój, który bolszewizm nazwał postępowem, jest nim rzeczywiście w stosunku do liberalizmu, ale tylko w dziedzinie bezczelności. Jest to liberalizm, posunięty do krańców konsekwencji. Od mechanicznej wolności, głoszonej przez liberalizm, do terroru prowadzi tylko śmiałość logicznej myśli. A tym, co nieśli sztandar liberalizmu po świecie i tym, co stworzyli bolszewizm, na suchej logiczności nie zbywa. Nie trzeba pokazywać palcem. Pokrewieństwo hasel samo naprowadza na tożsamość rasową duszy”.

Dopiero, gdy faszyzm rozgłosił swe hasła, z wolna i polski obóz narodowy począł strząsać swe liberalne upierzenie; hasła Obozu Wielkiej Polski nie zawierają już liberalnych pogłosów niemal wcale.

Podobna ewolucja dokonała się w ostatnich latach i w stosunku do Kościoła katolickiego. Przedwojenny nacjonalizm polski odznaczał się zupełnym indyferentyzmem w stosunku do religii, okazując jej i jej przedstawicielom częstokroć jawną niechęć. Wiara nie godziła się z „duchem czasu” i ze „światopoglądem” przyrodniczym. „Egoizm narodowy” nie mógł żyć w zgodzie z etyką katolicką. Właściwy przewrót w tych pojęciach, odziedziczonych jeszcze po smutnej pamięci „oświeceniu” XVIII w. wywołało dopiero pokolenie, którego lata młode lub dzieciństwo przypadły na okres wojny światowej; wyniosło ono z tej zawieruchy wiarę żywą, mocniejszą niż przyrodnicze formułki. Odtąd zaczyna się zwrot. W publikacji Romana Dmowskiego, wydanej w r. 1927 w ramach wydawnictw Obozu Wielkiej Polski pt. „Kościół, naród i państwo” widzimy już wyraźne odgrodenie się od zasad egoizmu narodowego. Deklaracja programowa Obozu narodowo-radykalnego z kwietnia 1934 r. staje już bez zastrzeżeń przy zasadach katolickich.

Tak to w obozie narodowym dokonała się w ostatnim dziesięcioleciu doniosła ewolucja. Ukoronowaniem jej stało się zupełne zerwanie z doktrynerską spuścizną XIX w., w szczególności zaś z liberalnym demokratyzmem i z niechętnym indyferentyzmem w stosunku do Kościoła katolickiego oraz do etyki katolickiej. Jest to zwrot stanowczy i trwały, bo wynikały z jednej strony z

odczuć przeważającego ogółu, z drugiej zaś ze zgłębienia historii i poznania istotnych zamiarów tych, którzy te doktryny szerzyli i walkę z Kościołem na przestrzeni wieków organizowali.

Z dnia na dzień młody ruch narodowy pozbawia się doktryn, które tumanami mgieł przesłaniały mu dotąd polską rzeczywistość. Za podmuchem otrzeźwiającego wiewu nagle cały świat nabrał jaśniejszych barw. Odpadła za jednym zamachem ustawiczna kłótnia doktryn z polską rzeczywistością, osnuwająca codziennie życie kłębam kurzu; rzeczy zawiłe i ledwo dostrzegalne stały się od razu czymś bardziej prostym i dobrze widocznym.

Życie narodu ma swój odrębny język, swoją własną wymowę. Język ten, zrozumiały dla kogoś, kto od pokoleń wrósł w głąb tego życia, dla obcego, dla przypadkowego obserwatora może nastęrczać trudności niepokonane. W położeniu obcego znajduje się także człowiek, wprawdzie nieobcy pochodzeniem, ale taki, który nałożył sobie na oczy za zakopcone szkła jakiejś doktryny i do jej wymogów gwałtem pragnie nakręcić otaczającą go rzeczywistość. Obręcze skrzypią, pękają śruby, a on natęży ramiona. Niech się wszystko połamie, byle to, co zostanie, dało się uzgodnić z logiką jego doktryny!

Od tego doktrynerskiego ducha, którym przepełnił się cały wiek XIX, był młody, polski ruch narodowy odchodzi z każdym dniem dalej. Dziś wadzi mu nawet ten pozorny, zewnętrzny doktryneryzm „naukowy”, jaki wdział był na siebie dawny ruch wszechpolski. Ruch wszechpolski wyszedł bowiem ze szczerze narodowego odczucia, lecz pod sugestią XIX w. otulił je fartuszkami międzynarodowych doktryn pozytywizmu i liberalizmu, pożyczonym z łóż. Był on polskim „nacionalizmem”, czyli systemem o pozorach naukowych, „światopoglądem” w rozumieniu XIX w., wreszcie próbą dostosowania doktryn liberalizmu i pozytywizmu do polskich odczuć narodowych; młody polski ruch narodowy nie ugania się i nie będzie się uganiać za zwartym „naukowo” systemem, lecz pragnie jedynie zadość czynić polskim potrzebom materialnym i duchowym. Młody, polski ruch narodowy nie jest „nacionalizmem” - to może najistotniejsza jego cecha. Tuła się jeszcze niekiedy po różnych publikacjach ta niefortunna nazwa i czas najwyższy, by znalazła się w muzeum mało szacownych pamiątek tych lat, w których Polacy żyli w oparach cudzego oddechu.

Skończmy z „nacionalizmem” tak samo, jak skończyliśmy z liberalizmem, demokratyzmem i tylu innymi idiotyzmami XIX stulecia.

Naród i państwo

Odróżnienie narodu od państwa w świadomości ludzkiej, a tym bardziej w świadomości piszących - to rzecz świeżej daty. Niewątpliwie życie pod władzą wspólnych monarchów we wspólnym państwie przyczyniło się niezmiernie do zlania różnych etnicznie ludów w jedną narodową całość i do zbudzenia w nich wspólnego poczucia narodowego. Można jednak zaryzykować twierdzenie, że świadomość różnicy między narodem a państwem narzucała się ogółowi wtedy, kiedy między rządem państwa a jego rdzenną ludnością powstawało przeciwieństwo tak wyraźne, że ludność przestawała uważać rząd za przedstawiciela interesów całości, jedynie zaś do czasu korzyła się przed jego siłą. Dlatego to u źródeł zbudzenia się samowiedzy narodowej znajdziemy zawsze przeciwstawność między narodem a państwem, reprezentowanym przez ówczesny rząd. Oczywiście poczucie narodowe, raz skryształizowane, staje się potem już trwałym nabytkiem danej cywilizacji. I tak obudzenie się samowiedzy narodowej we Francji należy zawdzięczać przepaści między rządami Burbonów a ogółem miejskiej ludności francuskiej, na której oparła się Wielka Rewolucja. Początki świadomości narodowej w Niemczech - to okres walki całej ludności o wolność w r. 1813 przeciw Napoleonowi I i narzuconym przezeń rządom. We Włoszech znowu irredenta, a więc walka z rządem Habsburgów i ze świeckim rządem Papieża w państwie kościelnym oraz przeciw Burbonom neapolitańskim wywołała pierwszy wybuch poczucia narodowego, który z biegiem lat doprowadził do stworzenia narodowego państwa włoskiego. Na Węgrzech ruch narodowy zbudził się na tle walki z panowaniem Habsburgów i wybuchnął w powstaniu zbrojnym w r. 1848. W Polsce utrata historycznego państwa wykrzesła bolesne odróżnienie między narodem a państwem; znalazło ono natchnione ujęcie w pismach Mickiewicza, a swój polityczny wyraz w trójzaborowej łączności Polaków przez dziesiątki lat. Zawsze więc walka z rządem, władającym w danym terytorium etnicznym, nieciła poczucie narodowe, której później trwało już, choćby rząd został uzgodniony z narodem. Natomiast wytwarzanie poczucia narodowego przez świadomą akcję państwową nie daje dostrzegalnych wyników, mimo wszelkich starań nie powstał naród austriacki, nie ma jednolitego narodu szwajcarskiego ani amerykańskiego, a nawet narodu belgijskiego. Państwo nie stworzy sztucznie narodu, naród zaś może żyć bez własnego państwa, jak to sami wiemy najlepiej.

W drugiej połowie XVIII w. jednym z haseł, propagowanych przez loże wolnomularskie wśród szlachty polskiej, było pouczenie, że forma rządu powinna być dla masona rzeczą obojętną. W owym czasie hasło takie musiało mieć za skutek godzenie się „braci” i „oświeconej” części szlachty z dokonywującym się procesem rozbiorów Polski. Obojętność wobec formy rządu, obowiązująca „brata” i każdego Polaka, pragnącego uchodzić za „oświeconego” (a któżby wówczas nie pragnął?), prowadziła oczywiście do uległości wobec rządów rosyjskiego, pruskiego i

austriackiego. Po utracie niepodległości hasło pogodzenia się z istniejącym stanem rzeczy mogli głosić ci tylko, którzy stracili wiarę w Polskę doszczętnie albo zaprzańcy. Natomiast tajne organizacje międzynarodowe, jak wolnomularstwo, węglarstwo, a później międzynarodówka socjalistyczna, pragnąc dotrzeć do rdzennie polskiej ludności, musiały się przeciwstawić rządóm państw rozbiornych.

Od powstania odbudowanego państwa polskiego głoszenie hasła, jakoby forma rządu miała być dla Polaka rzeczą obojętną, nie mogło również liczyć na powodzenie w narodzie, który po tylu dziesiątkach lat niewoli odzyskał wreszcie niepodległość państwową. Natomiast w kołach polskich, pozostających świadomie czy nieświadomie pod wpływem doktryn tajnych międzynarodówek, poczęto propagować nową teorię: rzekomo w okresie niewoli w ustawicznej walce z rządami zaborczymi mieliśmy zatracić do cna poczucie państwowe, wskutek czego staliśmy się społeczeństwem zanarchizowanym i nie umiejącym żyć we własnym państwie. Traktujemy rzekomo własny rząd tak, jak dawniej traktowaliśmy rządy zaborcze.

Z początku ta „ideologia państwowa” nie przeciwstawiała się zasadzie państwa narodowego, lecz miała być raczej jej uzupełnieniem; dopiero po przewrocie 1926 r. pewne koła stanęły otwarcie pod sztandarem tej teorii, aby nią zastąpić ideę państwa narodowego. Głoszenie takiej teorii przez czynniki w Polsce wpływowe zachęciło nawet żydów, tych twórców antypolskiego bloku mniejszości narodowych, do tego, by od razu uznali się za najlepszych polskich „państwowców”.

Zastąpienie polskiej samowiedzy narodowej jakąś sztuczną „ideologią państwową”, szczepioną z urzędu, zamiast być odtrutką na istotnie częsty w Polsce brak poszanowania władzy, staje się czymś podobnym do wolnomularskiego hasła obojętności wobec formy rządu, głoszonego w okresie rozbiorów; podobieństwo to rośnie, gdy się uwzględni oficjalną tendencję do odsuwania opinii publicznej od wpływu na rządy, a co za tym idzie, od interesowania się sprawami publicznymi, a więc i formą rządów. Czyż sposób, w jaki wprowadza się nową konstytucję i obojętność wzorowa, z jaką patrzy się na to naród, nie daje do myślenia?

Dzisiejsza „ideologia państwowa” - to znowu doktryna, oderwana od życia i od polskiej rzeczywistości. Nasze dążenia przedwojenne, te tak zwane w kiepskiej gwarze „dążenia niepodległościowe”, miały jasną treść: pragnęliśmy, by naród polski przestał znosić jarzmo obcych rządów, by stał się sam twórcą swego ustroju, mocodawcą własnego rządu, kowalem swego losu. Natomiast nie było pragnieniem naszym powstanie państwa, polskiego tylko z nazwy, tak samo, jak nie mogło nas zadowolić w r. 1815 Królestwo Polskie pod berłem cara.

Narodowi dla pełni życia, dla nieskrępowanego istnienia trzeba własnej organizacji państwowej; to chyba - po przeżyciu lat niewoli - jest dla nas rzeczą bezsporną. Państwo, mające zadośćuczynić potrzebom narodu, musi być więc naprawdę jego własnym państwem, a więc - nie

trzeba się tego wstydzić – państwem narodowym. Próby tworzenia z całej ludności, zamieszkującej państwo polskie, jakiegoś nowego narodu, są czystą utopią, zwłaszcza skoro zważymy, że naród polski jest już od dawna cywilizacyjnie, historycznie i politycznie gotowy i skryształizowany.

Dla narodu państwo nie jest nadbudową, lecz niejako narzędziem, bez którego niemal nie może się obejść, firmą, pod którą występuje w stosunkach z innymi narodami, a zarazem twierdzą, która go zabezpiecza przed wrogami. Jak rodzina najbezpieczniej czuje się we własnym domu, a naród ma poczucie bezpieczeństwa we własnym państwie; ale we własnym – powtarzam z naciskiem.

Ubóstwienie państwa, nawet państwa narodowego, trąci fetyszyzmem. Jest to przejaw zaczerpniętego z materialistycznych doktryn XIX w. przeświadczenia o wartości czysto mechanicznych sposobów regulowania życia i zdradza zabobonną wiarę w skuteczność papierowych zarządzeń oraz w celowość, a nawet w wychowawcze oddziaływanie systematycznych aktów państwowej przemocy. To, co dzisiaj obserwujemy w Niemczech i we Włoszech, budzi poważne obawy o przyszłość cywilizacji europejskiej; jest to odwrócenie pojęć, wskutek czego to, co jest tylko narzędziem, ustraja się w godność celu. Wygląda to tak, jakby rycerz krzyżowy – zamiast myśleć o celu wznosił, który kazał mu rzucić rodowy zamek i pognać w dalekie kraje – wielbił tylko swój miecz i dla martwej stali czynił ofiarę ze swych wygód i nawet ze swego życia. Przypomina się Roch Kowalski z Sienkiewiczowskiego „Potopu”, który woła, głaszcząc swą szablę: „Ja jestem Roch Kowalski, a to pani Kowalska”.

Państwo i władza państwowa muszą budzić poszanowanie, ale tylko, jako organy narodu. Państwo bez tytułu moralnego i rząd bez tytułu moralnego – to tylko przemoc fizyczna. Dostojność władzy w narodzie i w narodowym państwie – to dziś podstawa wszelkiego ustroju społecznego w społeczeństwach o cywilizacji chrześcijańskiej i rzymskiej; to instytucja podobna do tej, jaką stanowi dostojność władzy ojcowskiej w rodzinie i w rodzinnym domu.

Wiele dziś mruczy się w Polsce na temat smutnego spadku, jaki otrzymaliśmy po Austrii. Narzekania te nie zawsze są sprawiedliwe i słuszne, ale najbardziej podejrzanej części spadku zdaje się ogół nie dostrzegać. Jest nim niewątpliwie właśnie „ideologia państwowa”, wyrażająca się ongiś w Austrii w chęci podporządkowania różnych narodów, a nawet ich części, sztucznie oddartych od reszty, jakiemś bóstwu, którym miała być Habsburska monarchia. Żyją jeszcze dzisiaj Polacy, którzy pamiętają dobrze słynną odezwę cesarza Franciszka Józefa do „wiernych ludów” z lipca 1914 r., wzywającą je do złożenia ofiary krwi na rzecz „Domu Cesarskiego” i wspólnej ojczyzny. Nie spotkałem wówczas Polaka, bez względu na jego „orientację”, który by nie widział w tej odezwie szczytu cynizmu politycznego, który by jej treści i towarzyszącej jej przymusowej mobilizacji nie odczuł, jako brutalnej zniewagi i naigrywania się z prawdziwych uczuć tych narodów. Nie inaczej przyjął ją Czech, Serb, Słoweniec, Rumun, Włoch czy Rusin. Toteż wierność dla monarchii trwała poty, póki strzegła jej skutecznie policja, żandarmeria i sądy połowę. Na wieść o klęsce Austro-Węgry

rozsypały się niemal w ciągu jednego dnia. Albowiem cały ten twór państwowy był w XX w. przeżytkiem, urągającym poczuciu narodowemu wszystkich narodów, wchodzących w jego skład.

Nawet Niemcy austriaccy i Węgrzy przejawili w monarchii austriacko-węgierskiej tendencje odśrodkowe, jakby dziś powiedziano, tendencje antypaństwowe. Nawet oni, złączeni odwieczną unią i wiekami historii, rozerwali swój związek z tym państwem przy pierwszej nadarzonej sposobności. Do takich wyników wiedzie dzisiaj doktryna o beznarodowym państwie, o państwie bez gospodarza. Gdy ona zapanuje bezwzględnie, wówczas wszyscy uważają się za przymusowych gości i zdradzają skłonność do wyprowadzki.

Czy po tak niedawnym doświadczeniu dziejowym naśladownictwo wzorów monarchii Habsburskiej może w jakimkolwiek sensie odpowiadać polskim pragnieniom? Czy państwo, które wypiera się oficjalnie związku z narodem polskim, jest w opinii ogółu tym samym państwem, którego powstanie okupiliśmy krwią naszych bliskich i własną i ofiarami, składanymi od pokoleń? To jakieś opętane doktryny szydzą z naszych bolesnych doświadczeń, ze wspomnień tak niedawnej przeszłości i nasuwają widmo chwili, w której trzeba będzie w imię czegoś świętego odwołać się do ofiarności całego polskiego narodu. Czy pragnie ktokolwiek z nas, by wezwanie to - po przeprowadzeniu ustroju państwa beznarodowego w całej rozciągłości - zostało odczute podobnie, jak proklamacja cesarska z lipca 1914 r.? A przecież - przypominam - nawet Niemcy austriaccy i Węgrzy przejawili tendencje odśrodkowe wówczas, gdy w narodowej Rzeszy niemieckiej zaraz w pierwszych dniach zgłosiły się dziesiątki tysięcy ochotników do służby wojskowej, nie licząc setek tysięcy zmobilizowanych, a wodzowie pacyfistycznej międzynarodówki socjalistycznej spalili manifestacyjnie swe czerwone sztandary pod pomnikiem Bismarcka.

Rządy demokratyczne

Po kilkunastoletnim trwaniu odbudowanego państwa polskiego mamy już za sobą całe bogactwo przeżyć; mieliśmy wojnę i pokój, mieliśmy inflację i deflację, rozkwit gospodarczy i kryzys, żydowski blok mniejszości i współpracę żydowskich posłów z rządowym klubem w parlamencie, rządy demokratyczno-parlamentarne i rządy „autorytatywne”. Zwłaszcza ta ostatnia antyteza bywa obecnie chętnie podkreślana, przy czym przedstawiciele niektórych kół młodego pokolenia usiłują w niej dopatrzeć się istoty przemian zachodzących w świecie i w Polsce.

Demokratyzm był przed wojną czymś wszechwładnym w modzie politycznej; przyzwoity, „oświecony”, „postępowy” człowiek powinien był być demokratą. Wolno mu było do tego dodawać sobie przymiotnik, odróżniający go od ogółu demokratów tak, jak rodziny tego samego nazwiska odróżniają się przydomkiem lub herbem: mógł więc być postępowym demokratą, socjalnym demokratą, radykalnym demokratą, a nawet... narodowym demokratą czy chrześcijańskim demokratą, byle nie zapominał o wspólnym pniu.

Zdawałoby się, że demokracja - u nas przynajmniej - przestała być dziś już aktualna, że należy do przeszłości. Takie zapatrywanie byłoby błędem. Demokracja ciągle jeszcze żyje wśród nas. Działają jeszcze dawne stronnictwa demokratyczne, a w obozie rządowym nie zamarły dotąd pogłosy demokratycznej przeszłości. Najintensywniej atoli żyje demokracja wśród nas, jako uzasadnienie swojej rzekomej antytezy, jako uzasadnienie potrzeby rządów autorytatywnych. Każę nam się wierzyć, że te dwa systemy - to „dwa na krańcach swych przeciwne bogi”. Czyżby tak było w rzeczywistości?

Demokracja to - jak wiadomo - grecka nazwa dla ustroju, w którym lud rządzi się sam, czyli jest zwierzchnikiem państwa. Forma ta, istniejąca w maleńkich państewkach greckich, gdzie cały niemal lud zbierał się na targowisku, by decydować o sprawach publicznych, przypominająca raczej dzisiejszy samorząd gminny, nie może być uznana za matkę demokracji nowoczesnej; demokracja nowoczesna to podrzutek, którego rodziców należy szukać w łóżach wolnomularskich XVIII w.

Toteż rozpatrując istotę nowoczesnej demokracji, od razu przekreślimy ten jej sfalszowany, grecki rodowód. Przyjmijmy, że szlachectwo tej doktryny, która całej niemal Europie w XIX w. narzuciła formę rządów, jest wątpliwe i bardzo świeżej daty, zaś do ojcostwa przyznaje się cała zbiorowość łóż; demokracja nowoczesna to jakby córka pułku. Do chrztu trzymały ją wolność, równość i braterstwo.

Doktryny te - to fundamenty logiczne demokracji. Ludzie mają przyrodzone prawo do wolności osobistej; z natury między sobą są równi; w pierwotności swojej są dobrzy, mają „naturalną” etykę. Niestety, psuje ich cywilizacja, a szczególnie „stan społeczny”, w którym żyć muszą z

konieczności. Trzeba więc dać im w tym „stanie społecznym” taki ustrój władzy państwowej, który by jak najmniej psuł ich naturalną dobroć.

Ten z natury dobry człowiek pierwotny ma przyrodzone prawo do nieograniczonej wolności osobistej; tymczasem warunki ziemskiego pożycia sprawiają, że musi żyć w „stanie społecznym”, czyli pod jakąś władzą. Jak to uzasadnić? Czy każda władza jest bezprawiem i gwałtem, zadanym jednostkom ludzkim?

Umysły, szkolone w lożach, każdą dziurę logiczną w głoszonej doktrynie umiały zawsze zacerować nicią jakiejś nowej doktryny. Od nadmiaru doktryn głowa nie boli. I tutaj więc znalazł się krawiec w osobie Rousseau’a, który sporządził swą „fikcję kontraktu społecznego”. To prawda – głosił on – że jednostka ma nieograniczone prawo do wolności, władza jednak istnieć musi, a więc jednostka w „stanie społecznym” musi poddać się pewnym ograniczeniom swej wolności. Jak tu wybrnąć? Ano, przyjmijmy fikcję, jakoby wszystkie jednostki ludzkie kiedyś w prawiekach zawarły między sobą dobrowolną umowę, mocą której zezwoliły na ograniczenie swej, wolności na rzecz zbiorowości. Tę rzekomą umowę nazwał Rousseau „kontraktem społecznym”. Z przyjęcia a lekcji płynęły ważne konsekwencje logiczne: oto wobec tego, że ograniczenia wolności jednostki mają swe uzasadnienie li tylko w owej dobrowolnej umowie w owym kontrakcie społecznym, wynikłym z uznania konieczności jakiejś organizacji stanu społecznego, a więc i władzy, przeto stosunek jednostki do państwa mieści się w kategorii stosunków prywatnoprawnych, zwykłych stosunków umownych. Wskutek tego ograniczenia wolności jednostki na rzecz władzy państwowej reguluje treść tej prywatnoprawnej umowy, a więc mogą one iść tylko tak daleko, jak dalece na nie te, kochające się w wolności, jednostki przyzwoliły; a na pewno nie przyzwoliły na ograniczenia większe, lecz tylko na takie, które były niezbędne dla pożycia w „stanie społecznym”. Wynika z tej doktryny dogmat demokracji: ograniczyć wolność jednostki wolno jedynie wtedy, gdy to jest absolutnie niezbędne, a jedynie cały „lud” swą zgodą może uprawnić władzę państwową do stosowania tych ograniczeń.

Oparty na demokracji system rządów był systemem trwałego kłamstwa i oszustwa. Już podstawowe prawo, jakie ogłaszały ustroje demokratyczne, jakoby zwierzchnikiem państwa był „lud”, jakoby rządy „z woli ludu” sprawowali jego wybrańcy, nie miało z rzetelną rzeczywistością nic wspólnego. Na tym kłamstwie oparł się system rządów parlamentarnych, nieuchronnie związany z nowoczesną demokracją.

Prawa jednostki ograniczać, a więc rządzić, można tylko za przyzwoleniem ogółu, czyli „z woli ludu”. Jak jednak tę „wolę ludu” wy badać? Najdokładniej chyba przez zapytanie wszystkich. Ale to byłby niemożliwy kłopot, co chwila kazać ludziom głosować; na dobrą sprawę – zgodnie z doktrynami demokracji – każdy wypadek ograniczenia wolności jednostki powinien być rozstrzygnięty przez osobne głosowanie. Toteż – dla uproszczenia procedury – niech ten wolny „lud”

raz na jakiś czas wybierze swych wybrańców, swych pełnomocników, „posłów”, a ci z jego polecenia będą wyrażać jego wolę. Tak zaadoptowała demokracja instytucję wyborów przedstawicieli przez ludność, znaną już w zupełnie innym charakterze w średniowieczu i w ten sposób wolnomularska mamka wykarmiła parlamentaryzm.

Parlament w ustroju demokratycznym - to namiastka „ludu”, stąd dostojeństwo tego ciała i pojedynczych jego członków. Dlatego to posłowie, namaszczeni zawartością urny wyborczej, czyli zmaterializowanym zaufaniem „ludu” muszą być „nietykalni” i „niezależni od rządu, czyli pobierać diety poselskie; muszą posiadać gratisowe bilety pierwszej klasy na wszystkie pociągi, żeby jak najswobodniej, mogli się stykać z „ludem”, imieniem którego występują. A jednak, mimo to wszystko, może się łatwo zdarzyć, że wybrani kiedyś posłowie w krótki czas później nie reprezentują już „woli ludu”, bo zmieniły się nastroje wyborców, a to jest tylko jedno lekarstwo: jak najczęstsze wybory. Ten postulat, logiczny zresztą, broniony był zawsze przez najbardziej konsekwentnych demokratów, przez socjalnych demokratów, czyli przez międzynarodówkę socjalistyczną.

Kto ma głosować przy wyborach? I w jaki sposób to głosowanie ma się odbywać? Są to dla demokracji pytania równie doniosłe, jak dla dworu samowładcy-króla pytanie, jaki ma być ceremoniał przy narodzinach następcy tronu. Ponieważ Wielka Rewolucja francuska obaliła tron Burbonów w oparciu o burżuazję, czyli mieszczaństwo, przeto złamano wyłączność szlachty do zajmowania się sprawami publicznymi i prawa polityczni rozciągnięto w ten sposób, by objęły także stan trzeci. Natomiast proletariats miejski i wiejski przez długi czas panowania doktryn demokratycznych pozbawiony był prawa głosu politycznego, a co najwyżej dopuszczany do wyborów pośrednich, gdzie dopiero jego wybrańcy mieli wybierać posłów. Międzynarodówka socjalistyczna włożyła we wszystkich krajach cały ogrom wysiłków, by proletariatowi zdobyć to niebiańskie szczęście, jakim było dopuszczenie go do rozkoszy demokratycznego ustroju, do głosowania. Lat szeregi wojowali socjalni demokraci postulatem wyborów czteroprzymiotnikowych, a później nawet sześcioprzymiotnikowych, twierdząc, że jest to istotne żądanie prawdziwej demokracji. Dlaczego?

Wybory powinny być powszechne, równe, bezpośrednie, tajne, a potem jeszcze bez różnicy płci i proporcjonalne. Wybory - jak wiemy - miały uprawnić posłów do wyrażania „woli ludu”. Kto należy do „ludu”. Oczywiście każdy. Czy i każdy, kto się do danego państwa przybłąkał, choćby zaraz miał zamiar się wynosić? W zasadzie tak. Ideałem demokracji jest w zasadzie zniesienie granic państwowych, jakieś Stany Zjednoczone świata, a w najgorszym już wypadku państwo tak gościnne, że każdego obcego przybysza, jak w domu zajezdnym, uważa za współgospodarza. Niestety, organizacja państwa wzdraga się przed całkowitym jej oparciem na elemencie koczowniczym; musiała więc demokracja znowu pójść na kompromis między doktryną a wymogami rzeczywistości i stworzyć pojęcie „obywatela”, który ma się bez wszystkiego obywać, lecz właśnie człowiek,

któremu w danym państwie przysługują prawa polityczne. Od czego to zależy, czy ktoś jest „obywatelem”? Od przynależności do narodu, który kiedyś w ciągu dziejów stworzył dane państwo? Oczywiście takie postawienie sprawy grzeszyłoby przeciw zasadom demokracji, bo przecież obcy są także ludźmi, mającymi przyrodzone prawo do wolności osobistej, a ograniczenie ich wolności może się dokonać tylko za ich przyzwoleniem. Jakże zaś mają dać to przyzwolenie. Oczywiście tak samo, jak wszyscy inni mieszkańcy, w głosowaniu; muszą więc być „obywatelami”. W ustroju demokratycznym krew, pochodzenie, nie może uzasadniać praw obywatelskich. Nie wszyscy jednak mogą być wszędzie „obywatelami”, choćby ze względu na połączony z tym normalnie przykry obowiązek służby wojskowej; trzeba więc było - wbrew doktrynie - to prawo „obywatelstwa” ograniczyć przez postawienie jakichś wymogów natury formalnej, od których spełnienia zależy jego posiadanie. Wśród tych wymogów pochodzenie zostało wprawdzie uwzględnione, ale na równi z innymi wymogami natury formalnej. A więc o „obywatelstwie” rozstrzyga: pochodzenie od ojca, który jest „obywatelem” danego państwa; adopcja przez obywatela; wyjście za mąż za „obywatela”; długoletnie zamieszkanie w państwie; na koniec tak rozpowszechnione nadanie „obywatelstwa” przez władzę administracyjną. Tak więc - pod wpływem doktryn demokracji - o „obywatelstwie” jednostki, czyli o trwałym związku jej i jej potomków z losami państwa decyduje spełnienie któregoś z tych wymogów czysto formalnej natury, a w tysiącach wypadków rozstrzyga o tym po prostu widzimi się urzędnika administracyjnego, jeżeli już nie jakaś wysoka protekcja czy łapówka albo niekiedy chwilowa taktyka polityczna rządu.

Tacy to „obywatele” rozstrzygać mają swym głosowaniem o losach państwa i o rządzie w państwie. Tak drogo zapłaciła demokracja tysiącom, a czasem milionom obcych za ograniczenie ich „przyrodzonego prawa do wolności osobistej”. A teraz trzeba jeszcze, by nikogo z nich przy głosowaniu nie pominięto i by mogli głosować swobodnie. Tutaj możemy powrócić do sławnych przymiotników.

Głosowanie musi być powszechne! To chyba nie budzi wątpliwości. Skoro każdy musi przyzwolić na ograniczenie jego wolności osobistej to oczywiście każdy musi głosować.

Wybory muszą być równe! I to proste. Jakaż racja pozwalałaby jednemu „obywatelowi” oddawać jeden głos, gdy drugi oddawałby dwa, trzy albo nawet cztery? Czyż wolność jednego „obywatela” miałaby być więcej warta niż wolność drugiego? A gdzież „wolność, równość, braterstwo”?

Wybory muszą być bezpośrednie! Zgoda na ograniczenie wolności osobistej - to za poważny, za uroczysty akt, by się można było przy nim wyręczać jakimiś zastępcami czy pełnomocnikami.

Głosowanie musi być tajne! Zgoda „obywatela” na ograniczenie jego wolności osobistej, usymbolizowana w akcie głosowania, jest już z jego strony wyrzeczeniem poważnym, bolesną ofiarą,

złożoną na ołtarzu „stanu społecznego”; czyż można odeń równocześnie wymagać drugiej ofiary, czyż można wymagać, by dzięki jawnemu głosowaniu narażał swoje interesy na szwank, by składał dowód cywilnej odwagi? Przecież cywilnej odwagi, ani w ogóle odwagi nie wymagają od „obywatela” żadne zasady demokracji.

Głosowanie musi być bez różnicy płci! Czyż kobieta nie jest człowiekiem? Czyż nie ma prawa na wyrażenie zgody na ograniczenie jej przyrodzonej wolności osobistej?

Głosowanie musi być proporcjonalne! A to po co? Jak zwykle w wypadkach, kiedy trudno zgadnąć, chodzi tutaj o... ochronę mniejszości. Przy każdym głosowaniu jakaś większość rozstrzyga o wyborze, pozostaje zaś na lodzie jakaś niepokieszona mniejszość. Czy to nie grzech przeciw zasadom demokracji? Tamci, szczęśliwi, mają swego wybrańca, który za nich decydować będzie o losach państwa i rządach, a oni mieliby się zgodzić na ograniczenie ich wolności bez żadnej rękojmi? Trzeba więc i im zapewnić przedstawicielstwo w parlamencie, a da się to przeprowadzić skutecznie tylko przy istnieniu okręgów wielomandatowych i przy głosowaniu proporcjonalnym. I tak zostanie jeszcze wprowadzić pewną liczbą drobnych mniejszości bez przedstawicielstwa w parlamencie, ale na takie ustępstwa wobec rzeczywistości doktryna demokratyczna I musi godzić się nieraz i nabrała już potrzebnej po temu wprawy, że przypomnę choćby „kontrakt społeczny” Rousseau’a lub kompromisowe rozstrzygnięcie sprawy, kto jest „obywatелеm” państwa.

O jednej kategorii ludzi, których wolność nieraz mocno ogranicza państwo, a którym nigdy nie dała sposobności do wypowiedzenia ich woli zapomina demokracja stale: o małoletnich i dzieciach. Wprowadzić trzeba jej przyznać, że - jakby odczuwała tę ustawiczną krzywdę wyrządzaną tylu jednostkom ludzkim, pozbawionym wolności bez pytania - stara się wiek, uprawniający do głosowania, jak najbardziej obniżyć, ale czy to otrze łyzy oseskom?

Na tak wybranym parlamencie, pochodzącym prosto „z woli ludu”, opierają się rządy demokratyczne. Jak parlament jest poniekąd dzieckiem „woli ludu” tak znowu rząd jest dzieckiem „woli parlamentu”; rząd jest więc niejako wnukiem „woli ludu” i reprezentuje dziadka tylko dzięki ojcu. Tak wygląda demokratyczna hierarchia rodzinna. Każde warknięcie ojca, każde „votum nieufności” parlamentu pozbawia rząd w ustroju demokratycznym tytułu prawnego do reprezentowania dziadka, czyli „woli ludu”, a więc - mówiąc po prostu - przepędza rząd.

Jak wychodził „lud” na tej swojej „wolności” i „równości” i na tym swoim „zwierzchnictwie” w państwie? Demokratyczne pojęcie „obywatelstwa” otwarło drogę do wpływu na rząd wszelkiego rodzaju obcym przybłędom, którzy los państwa, a tym bardziej zamieszkującej je, rdzennej ludności, gotowi byli zawsze poświęcić dla jakiegoś doraźnego zysku, dla jakiejś ordynarnej korzyści materialnej; tego typu ludziom nietrudno było wkraść się w zaufanie głosujących lub też kupić to zaufanie i w ten sposób zapewnić sobie lepszy dostęp do państwowego

złobu. Na tle niespodzianek głosowania, intryg zakulisowych w parlamentach, a nawet przez proste kupowanie posłów i całych stronnictw uzyskiwał na rząd i państwo ogromny wpływ potężny kapitał międzynarodowy. Wybory w konkurencji kandydatów i stronnictw stały się rzeczą kosztowną, a zwycięstwo dostępne tylko dla bogatych kandydatów i dla zasobnych stronnictw. W ten sposób rósł w siły nowoczesny kapitalizm, jako nieuchronne następstwo rządów demokratycznych. Ustrój demokratyczny i nowoczesny kapitał międzynarodowy, wysysający najszerze masy ludności rdzennej, to dwaj nieodstępni towarzysze.

Ustrój demokratyczny od początku do końca opiera się na kłamstwie i oszustwie. Kłamstwem jest, jakoby człowiek miał jakieś przyrodzone prawo do wolności osobistej; fikcją, czyli świadomym kłamstwem jest „kontrakt społeczny” Rousseau’a; kłamstwem jest, jakoby wybory, razem z ich wszystkimi przymiotnikami, dawały naprawdę wyraz woli ludu, kłamstwem jest, jakoby rząd demokratyczny reprezentował wolę parlamentu, a tym bardziej wolę ludu. O tym wszystkim wiedzą doskonale wszyscy kierownicy i działacze stronnictw demokratycznych, głoszenie przez nich tych haseł - to już po prostu oszustwo, a w najlepszym wypadku oszukiwanie samego siebie.

Demokracja i jej parlamentaryzm powołały do życia jeszcze jedną plagę życia publicznego: nowoczesne stronnictwa polityczne. Chęć wywierania jak największego wpływu na rządy, a także kosztowność wyborów stały się najmocniejszym cementem ich spójności. Trzydziestu posłów solidarnie zorganizowanych znaczy dla każdego rządu demokratycznego więcej niż stu niezorganizowanych, którzy mogą głosować przeciw sobie i swoje głosy wzajemnie znosić; stąd zachęta dla posłów, by tworzyli zwarte stronnictwa, w których obowiązuje solidarność i karność partyjna. W rezultacie dyktatorami stronnictw stają się ich przywódcy, a kilku takich przywódców większych stronnictw dyktuje swą wolę parlamentowi i rządowi. Dyktaturę tę wykonywują oni bez żadnej odpowiedzialności, bo za nich formalnie odpowiada rząd, zaś rachunki płaci „lud”. Ustrój demokratyczny to dyktatura ludzi nieodpowiedzialnych.

Skąd wziął się w chrześcijańskiej Europie ustrój tak kłamliwy i oszukańczy, tak przeczący na każdym kroku prawom Boskim i zdrowemu rozsądkowi ludzkiemu, tak po prostu potworny? Wiadomo już dzisiaj dobrze, że narodziny swoje i późniejszy swój rozwój zawdzięcza demokracja wyłącznie lożom masońskim i ich właściwym kierownikom, ich „Nieznany Przełożony”. Kto to są ci nieznanymi dyktatorzy państw demokratycznych? Odpowiedź daje nam historia i badacze masonerii. Kto z ustrojów demokratycznych skorzystał naprawdę? Kto uzyskał dzięki uznaniu przyrodzonego prawa do wolności, do równości, prawo handlowania gdzie bądź, prawo dostępu do wszystkich szkół w charakterze ucznia czy nauczyciela, prawo wyborcze czynne i bierne do parlamentów, co więcej prawo zajmowania wszystkich stanowisk urzędowych w każdym państwie i posterunków zaufania publicznego, a nawet prawo uczestnictwa w rządach? To żydzi doktrynom

demokracji i towarzyszącym jej z konieczności wpływom kapitału zawdzięczają całą swoją pozycję w świecie.

W ustroju demokratycznym mamy do wyboru dwie alternatywy: albo anarchię zupełną, albo pod firmą „ludu” zakulisowe rządy tajnych organizacji międzypartyjnych i – najłatwiej – międzynarodowych. W braku ich wszystko musi się rozlecieć. Rozwydrzone partyjniactwo demokratycznego ustroju uniemożliwiłoby bowiem stworzenie jakiegokolwiek, dłużej trwającego, rządu i rozdarłoby państwo na strzępy. Koniecznością staje się więc ów tajny cement, spajający przywódców poszczególnych stronnictw w jakieś zwarte koła, których istnienie pozostaje tajemnicą nie tylko dla „ludu”, ale nawet dla ogółu działaczy partyjnych. Pęknięcia i zatargi w tych tajnych kołach powodują niesamowite pęknięcia i przegrupowania na powierzchni jawnego życia politycznego, a „lud biedzi się potem nad odcyfrowaniem ich znaczenia i powodów.

Nowoczesną demokrację stworzyły tajne związki międzynarodowe. Jej logicznym wynikiem winna była być anarchia. Uniknąć jej można było jedynie przez niepodzielne oddanie zakulisowych rządów państw demokratycznych w ręce wolnomularstwa i jego „Nieznanych Przełożonych”.

Rządy demokratyczne - to nie tylko „wolność” i „równość”, ale także i „braterstwo”. Pamiętamy przecież, że - w myśl doktryny demokratycznej - wszyscy ludzie w swej pierwotnej naturze są dobrzy. W ustroju, opartym na wolności powszechnej, staną się sobie braćmi. Nie tylko jednostki, ale i całe ludy przestaną się waśnić i nastawać na siebie. Pod sztandarem demokracji - jak głosili jej apostołowie - zapanuje braterstwo wśród ludzi, braterstwo ludów i pokój powszechny.

Dziś złudzenia te należą już do historii, a wyrok jej wypadł bezlitośnie. Nigdy walki między ludźmi nie przybrały bardziej ostrego charakteru, jak za panowania demokracji. Przecież towarzyszący rządowi demokratycznemu i z nimi logicznie związany ustrój kapitalistyczno-liberalny zaostrzył walkę o byt do ostateczności i rozpałił powszechną żądzę zdobywania pieniądza, choćby po trupach. Co więcej, raz po raz rzucał narody przeciw sobie do bezrozumnych wojen, w których stawką istotną i często jedyną bywały interesy wielkiego kapitału, narodom na ogół obce i zazwyczaj szerokim rzeszom nieznane. Wystarczy przypomnieć tak liczne w XIX i XX stuleciu krwawe wojny o kolonie, o kruszce, węgiel czy naftę.

W jednym tylko, ukrytym dla ogółu znaczeniu, demokracja wprowadziła „braterstwo”. Jak wskazałem już wyżej, ustrój, oparty na jej doktrynie, musiał z konieczności oddawać zakulisową władzę w ręce tajnych organizacji. Tym tajnym rządem stało się wolnomularstwo, nazywające każdego wtajemniczonego „bratem”, obdarzające zaś każdego niewtajemniczonego w sekrety związku mianem „profana”, a więc człowieka, któremu nie należy dawać dostępu do spraw istotnych. Masoneria, sprawując zakulisowe rządy, oparła się oczywiście na swych członkach, na

„braciach”. I tak demokratyczne hasło „braterstwa” znalazło swój jedyny wyraz w rządach „braci” nad ogółem „profanów”.

Rządy autorytatywne

Demokracja u nas jeszcze żyje. Doktryny demokratyczne pokutują wszędzie, nawet tam, gdzie by się tego najmniej należało spodziewać. Rozstrzygnięcie sprawy w ustroju państwowym najważniejszej, sprawy praw obywatelskich i politycznych, przyznanie ich żydom, rozstrzygnięte zostało u nas ściśle w myśl doktryn demokracji; prawami tymi płaci się im za to, że zrzekają się na rzecz państwa polskiego cząstek swego „przyrodzonego prawa do wolności osobistej”. Najgłębiej atoli utkwiała u nas demokracja we wspomnieniach niesławnej pamięci naszych własnych rządów demokratycznych; uczuciowe, negatywne ustosunkowanie się do tej przeszłości uzasadnia powszechnie potrzebę systemu rządów, który ma być rzekomo przeciwstawny tamtym, systemu rządów „autorytatywnych”.

Co to są rządy autorytatywne? Jest to ustrój, w którym rząd posiadać ma bezwzględny „autorytet” i prowadzić sprawy państwowe „autorytatywnie”, czyli nie pytając się o „wolę ludu”. Rząd taki otoczony bywa z reguły przez doradców niezbyt wielu, którzy wraz z nim stanowią j szczupłe grono osób, w państwie decydujących. To grono różnie nazywało się w dziejach; za czasów greckich zwało się oligarchią. W wiekach średnich byli to dworacy panujących, w monarchiach XVIII i XIX w. mówiono o kamarylach dworskich; w systemie powojennych rządów „autorytatywnych” to koło wtajemniczonych w sprawy państwowe i dopuszczanych do ich rozstrzygania mieni się chętnie „elitą rządzącą”.

Widzimy więc, że system rządów autorytatywnych to w zasadzie nic nowego. Ma on wielu przodków w historii. Nie interesują nas w tej chwili jego przodkowie starożytni, z którymi niewiele więcej ma wspólnego niż nowoczesna demokracja z demokracją grecką czy rzymską, musimy jednak cofnąć się w przeszłość, by móc istotę rządów autorytatywnych ogarnąć w całej pełni.

Panujący chrześcijańscy w Europie średniowiecznej i aż po rewolucję francuską panowali „z Bożej łaski”; było to zgodne z nauką Kościoła, że „władza od Boga pochodzi”. Wiara w to, że panujący sprawuje swą władzę z Bożej łaski, nie była frazesem; gorąca wiara ludów chrześcijańskich nadawała dostojeniu monarchy aureolę religijną, której widocznym wyrazem był akt namaszczenia przy koronacji. W ten sposób władza monarsza uzyskiwała tytuł moralny, na podstawie którego mogła rozkazywać poddanym. Tym tytułem moralnym zachwiała już po trochu reformacja, lecz i ona uczyniła panującego głową kościoła, dając mu przez to tytuł do „rządu dusz”. Ten „rząd dusz” mógł oczywiście istnieć tak długo, póki lud, mimo odszczepieństwa od Kościoła rzymskiego, zachowywał żywą wiarę w swą religię. Obalenie religii, gdziekolwiek bywało dokonane, odbierało równocześnie panującym moralny tytuł ich władzy.

Monarchowie z Bożej łaski otaczali się kołem doradców, którzy bądź to na dygnitarskich stanowiskach, bądź też jako ich nieoficjalni pomocnicy wywierali znaczny wpływ na rządy. W ten sposób powstała naturalną drogą niewielka liczba rodów mających stały dostęp do dworu; rody te najczęściej korzystały z łaski monarszej i - zwłaszcza w ustroju feudalnym lub do feudalnego zbliżonym - skupiły w swym ręku wielkie posiadłości ziemskie. Tak powstawały rody magnackie, predestynowane do sprawowania zaszczytnych funkcji doradców monarchy. Była to więc elita dziedziczna, pełniąca swą kierowniczą rolę od pokoleń, a blask łaski Bożej, którą obdarzony był monarcha, padał pośrednio i na nią, jako na jego wybrańców.

W ten stan rzeczy uderzyła już po trochu reformacja w tych krajach, na które wywarła swój wpływ, albowiem rozluźniła hierarchię religijną. U nas nie kto inny, jak popierający wówczas reformację Zamoyski wraz z jej jawnymi zwolennikami przeprowadził instytucję elekcji viritim, czyli przez powszechne głosowanie. Elekcja króla przez całą szlachtę musiała podważyć w Polsce wiarę w pochodzenie władzy królewskiej z Bożej łaski; w Boską inspirację szlachty trudno byłoby uwierzyć komukolwiek, zwłaszcza gdy się widziało, jak poziome nieraz względy skłaniały tłumy szlachty do głosowania na danego elekta. Tu nie mogła już nawet zaradzić kościelna koronacja; toteż od czasu wprowadzenia elekcji viritim upadek autorytetu władzy królewskiej szedł w Polsce szybkim krokiem.

Cios śmiertelny chrześcijańskim zadał naprawdę dopiero wiek XVIII, tzw. wiek „oświecenia”. Nowinki antyreligijne, szczepione w lożach wolnomularskich i zawzięcie przez nie propagowane, jako istota prawdziwego „oświecenia”, pozbawiły na ogół wiary religijnej najwyższe koła społeczeństwa; w pochodzenie władzy monarszej z Bożej łaski traciła wiarę elita rządząca, otaczająca monarchę, a zazwyczaj i on sam. Panujący i otoczenie jego poczuli się nagle bez tytułu moralnego do sprawowania rządów. Co robić? Czy rzec się uprzywilejowanego stanowiska? A czy kto inny - poza nimi - miałby lepszy tytuł do sprawowania władzy? Postanowili więc trwać na pozycji. Zrozumieli jednak, że utrzymanie się na niej teraz - to tylko kwestia siły. Oto geneza „oświeconego absolutyzmu”.

Aby spokojnie - w ich mniemaniu - dzierżyć władzę, musieli panujący związać ze sobą mocno otoczenie mające wpływy w kraju, poza tym zaś okiełznać i opanować te żywioły czy organizacje, które mogłyby zmierzać do obalenia tronu. Dlatego to w owym czasie rośnie niepomniernie na dworach wpływ możnowładców; odtąd bowiem nie łaska Boża za pośrednictwem monarchy spływa na nich, lecz oni stają się podporą tronu. Monarcha teraz wie, że w dużej mierze zależy od nich: z drugiej strony woli żyć w zgodzie z organizacjami wolnomularstwa, które „oświeceniem” pozbawiło go wiary w jego Boskie posłannictwo, a otoczenie jego potrafiło wciągnąć do swych łóż. Toteż monarchowie XVIII w. chętnie sami wchodzą do masonerii i obejmują nawet protektorat nad jej lożami, jak Fryderyk Wielki, Józef II austriacki, Katarzyna II czy Aleksander I.

Naśladował ich skwapliwie Napoleon I, a potem Napoleon III. Inni znowu, jak Ludwik XIV, a potem Ludwik XVIII i Karol X we Francji poprzestają na zachowaniu życzliwej neutralności wobec łóż.

„Oświecony absolutyzm” - to system rządów autorytatywnych, w którym fundamentem władzy jest z jednej strony przyzwyczajenie poddanych do dziedzicznej monarchii i do dziedzicznych przywilejów elity rządzącej, z drugiej zaś po prostu siła. Polityką monarchii kieruje teraz kamaryla dworska, a spoza niej rządzą łoże. Rządy siły stają się jaskrawsze, gdy do władzy dochodzi parwienusz, wyniesiony Przez rewolucję, jak Napoleon I i pomianowani przezeń królowie, a później Ludwik Filip i Napoleon III. Charakterystycznym objawem takich rządów jest tworzenie na gwałt nowej arystokracji, nowej kamaryli dworskiej, by panujący-dorobkiewicz miał się na kim oprzeć.

Przestawszy być z Bożej łaski, musiał panujący zacisnąć pięść i rządzić mocno; w przeciwnym wypadku zazwyczaj padał ofiarą rewolucji, jak Ludwik XVI i Karol X we Francji. Toteż okres „oświeconego absolutyzmu” cechują na ogół rządy silne i nie dbające o opinię poddanych. Opóźniało to wprowadzenie rewolucję, ale stwarzało dla niej podatny grunt. Nie będziemy w rozbracie z prawdą, gdy powiemy, że rządy Świętego Przymierza po upadku Napoleona Wielkiego przygotowały rewolucje „wolnościowe” 1848 r. w Europie. Z przepaści, jaka się wytworzyła między elitą rządzącą a poddanymi, skorzystało węglarstwo; rewolucje 1848 r. były rozgrywką i próbą sił i przeważnie zakończyły się kompromisem, czyli monarchią konstytucyjną. Odtąd elita rządząca ustroju autorytatywnego coraz bardziej bywa wypierana, a rządy przechodzą stopniowo w ręce demokracji i pod sztandarami jej doktryn bywają sprawowane. Cesarstwo niemieckie jest pierwszym państwem wprowadzającym u siebie powszechne głosowanie do parlamentu, za nim idzie królestwo włoskie, a potem nawet monarchia Habsburska.

Po wojnie światowej doktryny demokratyczne zwyciężają w całej niemal Europie i odtąd liczni panujący beczynn timer pędzą czas na wygnaniu. Także i wszystkie nowo powstałe państwa przybierają ustrój liberalno-demokratyczny. Rażąco od tych zmian odbija tylko porewolucyjny regime w Rosji. Oto w okresie największego wyuzdania wolności demokratycznych powstaje system rządów trwałego terroru i - o dziwo! - powitany zostaje radośnie przez znaczną część pionierów demokracji, przez socjalnych demokratów w innych krajach. Co to ma znaczyć? Niewątpliwe poparcie, udzielone bolszewizmowi przez socjalno-demokratyczne organizacje reszty Europy, umożliwiło mu utrwalenie się w Rosji i - gdyby nie zwycięstwo polskich wojsk nad Wisłą - zalałoby bolszewickim potopem całą Europę. Któż to organizował strajki w Europie, by uniemożliwić dostawy amunicji dla Polski, broniącej się przed bolszewicką nawałą? Czyżby system rządów demokratycznych niekoniecznie musiał być od systemu rządów autorytatywnych oddzielony niezgłębioną przepaścią? Czyż to, że pod pokrywką komunizmu doszli do władzy w Rosji żydzi, miałoby wystarczyć wszystkim uczniom Marksa do zapomnienia o doktrynach wolności i równości,

by połączyć się z Moskwą w szaleńczym uniesieniu? Przecież system rządów sowieckich na wskroś był i jest przeciwstawny wszelkim doktrynom demokracji. Cóż bowiem wspólnego z wolnością jednostki, tak zapalczywie bronioną wszędzie przez socjalnych demokratów, coś wspólnego z kontraktem społecznym Rousseau a miały milionowe rzezie, dokonywane przez czerezwyczajkę czy GPU? Cóż wspólnego z równością miało ograniczenie już nie praw politycznych, ale po prostu praw ludzkich li tylko do członków partii komunistycznej? Cóż wspólnego z braterstwem miało urzędowe wymordowanie setek „braci”, kadetów i socjal-rewolucjonistów? Przecież bolszewizm stworzył system rządów autorytatywnych w najpełniejszym znaczeniu tego określenia; rząd bolszewicki w kraju nie liczył się z nikim i niczym. Najłżejsza opozycja czy oddanie siebie i swej rodziny wprost w ręce kata - to było to samo. Elita rządząca państwa sowieckiego oparła się jedynie na sile; siła stała się otwarcie jedyną legitymacją prawną i moralną bolszewickiej władzy.

Zupełnie odmienny typ rządów autorytatywnych pojawił się w roku 1922 we Włoszech, jako rządy faszystów. Faszystów objął rządy w wyraźnym przeciwstawieniu do roboty wolnomularskiej, socjalistycznej i komunistycznej, natomiast całą siłą oparł się na narodowych uczuciach mas. Zerwał również w sposób stanowczy z tradycjami walki z Watykanem, zawierając znany konkordat, dzięki czemu doszło do nawiązania stosunków oficjalnych między rządem włoskim a papieżem.

Obecny rząd włoski z niemal dyktatorską władzą Mussoliniego i ze ściśle hierarchicznym ustrojem narodu włoskiego, uosobionego w partii faszystowskiej, należy niewątpliwie do typu rządów autorytatywnych. Od „oświeconego absolutyzmu” odróżnia go od razu zewnętrznie fakt, że tu nie panuje monarcha, lecz ktoś inny, przy zachowaniu całej dekoracji monarchicznej. Następnie rządy faszystowskie nie są wcale nastawione niechętnie wobec „ludu”, czyli narodu, lecz najsilniej właśnie o naród usiłują się oprzeć. W końcu nie są to rządy przemocy, przeświadczone o tym, że ona stanowi jedyny ich tytuł do sprawowania władzy, lecz rząd Mussoliniego widzi tytuł moralny swej władzy w tym, że uważa się za prawdziwego przedstawiciela narodu włoskiego, jako całości.

Również i rząd narodowych socjalistów w Niemczech stał się wyrazem dążeń narodowych w tym kraju; musimy go także zaliczyć do typu rządów autorytatywnych, bo wprowadził dyktaturę Hitlera i hierarchiczną strukturę narodu. Hitleryzm ma mistyczne pojęcie o swej misji dziejowej, jako rasowego odnowiciela narodu niemieckiego. Tę misję, nie zaś przemoc czy siłę, uważa on za tytuł moralny swych rządów. Nawiązując do pogańskiej, starogermańskiej tradycji, stwarza on w Niemczech coś w rodzaju powrotu do wierzeń przed wiekami przebrzmiałych, przedchrześcijańskich, aby władzy dyktatorskiej woda nadać jakieś znamię „łaski bogów”, jakiegoś nadprzyrodzonego pochodzenia. W tym rozumieniu (nigdy zaś w innym) rządy Hitlera zbliżają się do typu rządów średniowiecznych, gdy to monarcha panował „z Bożej łaski”. Podczas gdy faszystów tkwi całkowicie w przedwojennym nacjonalizmie o podkładzie racjonalistycznym, narodowy socjalizm przy zastosowaniu całego aparatu niemieckiej naukowości i pseudonaukowości napił się

mistycyzmem dziejowym, do którego naród niemiecki od dawna ma skłonność. Wiara w rasowe posłannictwo narodu niemieckiego nie ma z racjonalizmem nic wspólnego.

W naszym, polskim systemie rządów autorytatywnych tytułem moralnym do stosowania siły i przymusu ma być – jak to głoszą teoretycy i przedstawiciele obozu rządowego – potrzeba „silnego rządu” w państwie. Brzmi to po prostu tak, jakby powiedziano, że rządy autorytatywne uzasadnia moralnie potrzeba rządów autorytatywnych. Ale czyja potrzeba? Państwa? Państwo jest przecież tylko formą organizacyjną jakiejś treści. Pusta forma nie może stwarzać żadnych tytułów moralnych. Więc może naród polski, który to państwo zdobył i własną krwią zlepił, odczuwa potrzebę rządów autorytatywnych? Tego nikt dotąd nie powiedział, unika się przecież słowa „naród”. Któż więc? „Obywatele”? Czy nie odnajdujemy w tej „ideologii państwowej” nieświadomych może pogłosów demokracji? Czy ideał bata i silnej ręki u tych, którzy go wyznają szczerze, nie jest po prostu instynktownym pragnieniem otrząśnięcia się z doktryn demokratycznych, w które wierzyli ongiś i w które dziś jeszcze wierzą podświadomie?

Rządy autorytatywne mogą mieć różną treść i rozmaite tytuły moralne; mogą być także tej treści i tytułu pozbawione. Wtedy stają się czczą formą zorganizowanego przymusu. Cokolwiek by można powiedzieć, to w każdym razie me autorytatywność rządów jest istotą przemian dokonywujących się w oczach naszych we Włoszech, w Niemczech i w innych krajach Europy, a także i u nas. Między rządem hitlerowskim a rządami liberalno-demokratycznej republiki francuskiej z okresu 1918 r. istnieje większe podobieństwo niż między rządem faszyzmu a rządem autorytatywnym Rosji sowieckiej. Nie forma bowiem rozstrzyga o pokrewieństwie systemu rządów, lecz treść, dla której ona jest szatą zewnętrzną.

Forma, w jakiej następuje uzgodnienie celów rządzenia między rządzącymi a rządzonymi, jest rzeczą drugorzędną. O losach państwa decyduje nie forma tego uzgodnienia, lecz sam fakt, że to uzgodnienie istnieje w całej pełni. Jeżeli ono istnieje, wtedy rządy bez względu na swą formę opierają się na autorytecie władzy, są rządami autorytatywnymi z samej swej istoty. W braku takiego uzgodnienia zewnętrzne objawy energii rządu stworzą dlań tylko autorytet pozorny, będący przejawem mechanicznej siły. Zawsze cechować go będzie wewnętrzna słabość, ta sama słabość, którą – wbrew pozorom – odznaczały się rządy „oświeconego absolutyzmu”; absolutyzm rządzących zawalił się przecież ni stąd, ni zowąd za podmuchem rewolucji „wolnościowych”. Rządy autorytatywne, których cele nie są dla rządzonych jawne i uzgodnione z ich prawdziwym poczuciem – to „kolosy na glinianych nogach”. Czyż istniał kiedykolwiek rząd bardziej autorytatywny z pozoru, jak niedawno powalony rząd carskiej Rosji?

Prawdziwy, wewnętrzny stosunek rządzących do rządzonych – to fundament moralny pod każdy ustrój państwowy; on, a nie co innego, daje formie ustrojowej najistotniejszą treść. Patrzeć się

na ustrój ze strony formalnej - to nie „twórczość państwowa”, lecz martwy doktryneryzm lub układanie jakiejś mniej lub więcej pomysłowej szarady.

Rządzący i rządzeni

Tytuł moralny władzy? Któż o tym dzisiaj myśli? Czyż to nie zabawny jakiś romantyzm, nie mający z realizmem politycznym nic wspólnego? Dość kłopotów ma w okresie ogólnego kryzysu wszelka władza na świecie, by się miała jeszcze troszczyć o tytuł moralny! Pytanie o tytuł moralny rządzących - to jakaś cienka kwestia filozoficzna, ale przecież nie zagadnienie życiowe, zagadnienie polityczne!

Otóż - nie całkiem tak. Nie należy sądzić zbyt pochopnie. Nie zawsze prawdą jest to, za czym przemawiają pozory i przyzwyczajenie myśli.

W każdym ustroju, nawet najbardziej prymitywnym, jest jakiś człowiek lub grupa osób, sprawujących władzę i jakiś ogół „ludzi szarych”, tej władzy podległych; w każdym ustroju są rządzący i rządzeni. Na czym opiera się władza rządzących? Na czym opiera się posłuch rządzonych? - trzeba się zapytać.

Władza rządzących i posłuch rządzonych dzisiaj bywa często wytworem stanu faktycznego; ot, po prostu jedni rządzą dlatego, że im się chce rządzić, a drudzy słuchają dlatego, że muszą albo dlatego, że są za bierni, by nie słuchać. W takich warunkach tytułem władzy jest siła rządzących i słabość rządzonych. Rządzeni nie uważają wówczas, żeby odmówienie posłuchu było czymś niemoralnym, czymś przynoszącym opornemu ujmę, czymś godnym potępienia; uważają natomiast, że opór jest czymś niebezpiecznym, grozi niemiłymi konsekwencjami. W takim ustroju politycznym poty panuje pozorny spokój, czyli „stałość rządów”, póki rządzący mają poczucie swej zdecydowanej przewagi nad rządzonymi, zaś rządzeni poczucie swej zdecydowanej niemocy wobec rządzących; jednym zdaniem, póki trwa w tym społeczeństwie podział wyraźny na panów i niewolników. Jest to ustrój naturalny dla ludów łagodnych i biernych, gdy zostaną podbite przez wojowniczych najeźdźców. Momentem zachwiania się takiej władzy, pozbawionej tytułu moralnego, jest zachwianie się poczucia siły rządzących albo zachwianie się poczucia niemocy u rządzonych. Bywają atoli i inne, bardziej skomplikowane przyczyny zachwiania się takiego regime'u; nie zawsze rzecz przedstawia się tak prosto, że jedni władzy się zrzekają, a drudzy wchodzą na ich miejsce; czasami bowiem w chwili, w której rządzący stracili już poczucie swej siły, rządzeni pozostali jeszcze w duszy niewolnikami. Wtedy zniechęcenie rządzących do wykonywania rządów może wyprzedzić proces usamodzielnienia się rządzonych; rządzący rzucają wtedy władzę niejako na łup ulicy, jak to uczynił był w marcu 1917 r. rząd carski, a nie ma jeszcze nikogo, kto by miał siłę dostateczną po temu, by ją podjąć. Następuje okres anarchii, aż póki nie dorosnie ktoś (swój lub obcy), kto ster pochwyty dostatecznie silnie. Może się także zdarzyć inaczej: rządzący mają jeszcze pełne poczucie swej siły, gdy rządzeni stracili już poczucie swej niemocy. Wtedy walka o władzę, a

nawet wojna domowa, staje się naturalnym wynikiem napięcia między rządzącymi a rządzonymi. Przyjeliśmy, że w świadomości jednych i drugich władza nie opiera się na żadnym tytule moralnym, że uzasadniają ją tylko bezwzględność i siła; te dwa czynniki muszą więc rozstrzygnąć o wyniku walki. Stąd jej niebywała zaciętość.

Formy władzy, oparte jedynie na sile, nieodbitcie należą do typu o równowadze chwiejnej. Każdej chwili coś może się załamać, coś może się przewrócić, coś może wybuchnąć. Nigdy nie wiadomo dzisiaj, co przyniesie jutro. Siła fizyczna - to najbardziej niestały czynnik w życiu politycznym. „*Fortuna variabilis, sed Deus mirabilis*” - rzekł proroczo ksiądz Starowolski zwycięskiemu Karolowi Gustawowi szwedzkiemu w podziemiach wawelskiej katedry.

A jaki sens ma taka rozgrywka o władzę? Jakie jest jej miejsce w pochodzie wieków? Czy to nie to samo, co spotkanie się dzikich zwierząt w puszczy? Mocniejszy dusi słabszego.

Świat ma jakiś swój sens i życie społeczne musi mieć także jakiś sens. Jeżeli przyjmemy mierny jakikolwiek sens „ustroju społecznego”, to musimy się zgodzić, że władza powinna być sprawowana „po coś”. A jakież w takim razie może być cel władzy? Albo korzyści rządzących, albo też korzyści rządzonych, albo wreszcie korzyści jakiejś zbiorowości stojącej ponad rządzonymi, ale także i ponad rządzącymi. W pierwszym wypadku jest to właśnie kwestia siły, kto z kogo ciągnie korzyści; o tym mówiłem wyżej. Za to w drugim i w trzecim wypadku rządzący muszą podlegać czemuś, co ich działaniem kieruje, a nie da się w żaden sposób utożsamić z ich własnym interesem, czemuś wyższemu. I jakkolwiek nazwiemy to, czemu służą rządzący, tę „rację stanu”, to ona, me zaś co innego, w ich własnej opinii i w opinii rządzonych daje im uprawnienie do rządzenia, a dla rządzonych stwarza obowiązek posłuchu. Ten wyższy powód, dla którego jedni uważają za godziwe rządzić, zaś drudzy równocześnie za godziwe słuchać, nazywam tytułem moralnym władzy.

„To wszystko pachnie sofisteryą” - mógłby ktoś zarzucić. - „Przecież władza jest władzą, zaś oparciem jej jest prawo. Kto przekracza kodeks karny, przewidujący kary za przestępstwa, polegające na odmówieniu posłuchu władzom państwowym, ten... Po cóż tu tytuł moralny?”

No tak, ale w takim ujęciu prawo jest jedynie wyrazem zewnętrznym siły, po prostu jednym batem więcej. Nie zapominajmy, że i zwierzęcy terror bolszewicki ufundowany został na „prawie rewolucyjnym”. Na prawie można oprzeć wszystko; bo prawo - według dzisiejszych pojęć - stało się czymś formalnym, martwą literą.

Rządzić w imię czegoś wyższego - to ta sama służba, co w imię czegoś wyższego słuchać. W ustroju, w którym rządy zbudowano na jakimś fundamencie moralnym, wszyscy sobie są równi. I ta podległość czemuś wyższemu daje tę równość istotną rządzących i rządzonych; jedni i drudzy są na wyższej służbie. Oto jest równość prawdziwa, wcale nie przeciwstawna hierarchii: wolność masońska

- to sparodiowanie tego pojęcia, to pojęcie wolności mechaniczne, dające się pogodzić tylko z anarchią albo z oszustwem.

Władza, oparta na tytule moralnym, krępuje się w wykonywaniu swych uprawnień jakimś wyższym celem; to się widzi, to się wyczuwa, o tym wiedzą rządcy. To stanowi najmocniejszą rękojmię stałości tej władzy. Upadek jej może mieć miejsce tylko wtedy, gdy rządcy lub rządcy stracą wiarę w ów cel, któremu władza ma służyć. Jeżeli zaś ustalą się, że rządcy z najlepszą wiarą pełnią swą rolę, lecz popełniając błędy niedołęstwa, wtedy następuje nie upadek rządcy, ale ich zmiana w drodze ewolucji, często za obojętną zgodą rządcy i rządzonych. Rządcy bez przewrotu wchodzi w szeregi rządzonych.

Taki idealny stan byłby oczywiście możliwy wówczas tylko, gdyby wiara w ów wyższy cel, uświecający władzę i dający jej tytuł moralny, była powszechna tak u rządcy, jak u rządzonych. Tak zorganizowane społeczeństwo żyłoby w ustroju ustabilizowanym; nie groziłoby mu żadne niebezpieczeństwa wewnętrzne, co najwyżej musiałoby się strzec przed niebezpieczeństwami zagrażającymi mu z zewnątrz, od obcych. Niewątpliwie ideały nie są osiągalne w warunkach ziemskich; nie powinno to jednak odstręczyć od zbliżania się do nich, od pochodu w ich kierunku. Wieczny ferment rewolucyjny, w jakim żyjemy w dzisiejszej epoce, nie może sprzyjać rozwojowi narodów osiadłych.

Wyrazem dążenia do tego ideału były w dziejach tak powszechne próby nadawania władzy charakteru sakralnego. Obserwujemy to już u ludów na nader niskim stopniu cywilizacji. Gdy zaś z jakichkolwiek względów pryska bezpośrednia i szczerą wiarą rządcy w ów wyższy cel, któremu służą, dająca tytuł moralny ich władzy, widzimy usiłowania zmierzające do zastąpienia tytułu prawdziwego tytułem sfałszowanym. Dla ilustracji przytoczę jedną klasyczną próbę z cywilizowanej starożytności: jest nią proklamowanie w imperium rzymskim religii cesarskiej. W okresie upadku republiki, w której władza miała charakter wyraźnie sakralny i była służbą „dobru publicznemu” (*salus rei publicae suprema lex*), wiara w bogów była już wybitnie podważona w najwyższych kołach. Dyktatury Sulli, Pompejusza, Cezara, Antoniusza, Oktawiana podważyły do reszty tytuł moralny władzy. Rządcy w nowym ustroju zdawali sobie doskonale sprawę z chwiejności władzy opartej jedynie na sile i - w braku rzetelnej wiary we własny tytuł moralny do sprawowania władzy - zdecydowali się tytuł ten sfałszować w nadziei, że po upływie lat rządcy przyzwyczają się do tego, by tę fałszywą monetę przyjmować, jak prawdziwą. Tak powstała w cesarskim Rzymie tzw. „religia cesarska”, uznanie panującego za wcielone bóstwo, co znaczyło w praktyce ubóstwienie panującego. Tutaj atoli okazało się dowodnie, że wiary w tytuł moralny władzy nie da się sfałszować ani tym bardziej wymóc siłą i postrachem. Tylko ktoś, kto sam w coś wierzy, potrafi innym narzucić tę wiarę. Cesarze rzymscy tak wybitni, jak Oktawian, Tyberiusz, Tytus, Marek Aureliusz, a później taki Dioklecjan czy nawet Julian Apostata nie byli zwyrodniałymi

naiwnisiami, w bóstwo własne wierzyć nie mogli. Szerzenie tej wiary wśród rządzonych uważali za konieczność państwową, za wymóg „racji stanu”. Stąd bezowocność ich wysiłków. W rezultacie religii cesarskiej w imperium rzymskim nikt nigdy nie wyznawał, choć jej propaganda trwała parę wieków. Okoliczność, że w tytuł moralny swej władzy nie wierzyli sami rządzący, wystarczyła na to, aby nie było go i w oczach rządzonych, rządy cesarzy rzymskich stały się typowymi rządami bez tytułu moralnego, rządami siły, którym towarzyszyła charakterystyczna dla takiego ustroju chwiejność równowagi.

Ustrój władzy w wiekach średnich zbliżał się do naszego ideału. W tytuł moralny władzy wierzyli rządzący i rządzeni. Stabilizacja ustroju trwała poty, póki reformacja, racjonalizm, a w końcu oświecenie nie zabrało tej wiary rządzącym. Wtedy już żadna siła nie mogła podtrzymać jej wśród rządzonych.

Ostateczny cios nie tylko tytułowi moralnemu władzy, ale już nawet poszukiwaniu go zadała etyka publiczna wolnomularstwa. Masoneria - jak wiadomo - rozprzestrzeniła się w XVIII, XIX i XX w. wśród rządzących i zdobyła sobie rozstrzygający wpływ na rządy. Do niej należały zarówno rządy „oświeconego absolutyzmu”, jak i późniejsze rządy „demokratyczne”. Organizacja wolnomularska polegała na coraz to wyższym wtajemniczaniu swych członków; tajemnicą istotną jest sam cel organizacji i każde dalsze wtajemniczenie bardziej go odsłania. Stąd olbrzymie różnice między wtajemniczonymi. Ale jakąż niezgłębioną przepaść w mniemaniu „braci” oddziela ich wszystkich od ogółu tych, którzy w ogóle nie dostąpili wtajemniczenia, od „profanów”? Jeżeli wolnomularstwo gdziekolwiek opanowało rządy, jakąż nic mogła łączyć rządzących i rządzonych? W dodatku wolnomularstwo uznawało zawsze interes własnej, tajnej organizacji za cel najwyższy, służenie mu za jedyny przykaz etyczny. Tak więc, oddzielone przepaścią wtajemniczenia od rządzonych i dla dobra własnej organizacji sprawujące rządy, nie mogło dbać o żaden prawy tytuł swej władzy; dla utrwalenia jej fałszowało go świadomie. Tu mamy znowu wyjaśnienie, dlaczego w XVIII i XIX w. rozlano w chrześcijańskiej Europie taką powódź doktryn. Jedynie zabicie w mózgi aryjskie „naukowych” kołków mogło sfalszować „Nieznany Przełożony” tajnych związków tytuł moralny ich władzy i zapewnić jej stabilizację bez względu na ustrojowe zmiany. Rządy wolnomularstwa wykołysały w ten sposób cynizm polityczny wśród rządzących. Zasady masonie: „interes organizacji najwyższym prawem” (jakby „*salus Templi suprema lex*”) i w tej służbie tajemniczej druga „cel uświęca środki”, w rezultacie więc pojęcie rządów jako służby na rzecz „wielkiego sekretu stwarzało konieczność bezustannego okłamywania rządzonych, którzy o tych celach nic wiedzieć nie mogli. W atmosferze stałego kłamstwa zanikały łatwo wszelkie skrupuły; powodzenie, z jakim uprawiano trwałe oszukiwanie rządzonych, wzmogło naturalną pogardę cechującą i tak zwykły stosunek wtajemniczonych „braci” do „profanów”. Udane ocmienie „obywateli”, czy „poddanych”, dawało mężowi stanu czy politykowi tytuł do laurów. Obłuda i cynizm przenikają na wskroś rządy „oświeconego absolutyzmu”, jak i rządy „demokratyczne” czy

socialistyczno-bolszewickie. Zgnębiono nawet poczucie nieuczciwości takich rządów wśród rządzonych, zduszono nadzieję, by inne rządy mogły nadejść kiedykolwiek, by w ogóle były możliwe. Zakrólowała powszechnie zasada, że w rządzeniu i w ogóle w polityce nie obowiązuje żadna etyka, żadna uczciwość. Jakież to odległe od wiary w „laskę Bożą” wieków średnich! Co najmniej tak odległe, jak wojny o źródła naftowe od krzyżowych wypraw!

Dzisiaj powrót do przeszłości, w szczególności zaś nawrót do średniowiecznych ustrojów monarchicznych niemożliwy jest przede wszystkim dlatego, że nikt nic potrafi wskrzesić zamarłych tytułów moralnych władzy. Dziś ani rządzący, ani rządzeni nic uwierzą, by współcześnie powołany na tron monarcha miał panować naprawdę z Bożej łaski. Zbyt przyziemnie myślą dziś rządzeni, zbyt ziemskie rzeczy dzieją się na półpublicznie na monarszych dworach. Powoływanie prezydenta o tytule królewskim nic ma już nic wspólnego z instytucją średniowiecznej monarchii, której istotną cechą jest dziedziczność tronu. Tą drogą nic da się dziś stworzyć tytułu moralnego władzy w nowoczesnym państwie.

Czyż więc nic może być dzisiaj władzy opartej na tytule moralnym? Czyżby destrukcja społeczna zaszła już tak daleko?

Tytuł moralny władzy musi wyrastać ze służby jakiemuś wyższemu celowi, któremu składają ofiary tak rządzący, jak i rządzeni. Czyż istnieje taki wyższy cel, na rzecz którego każdy Polak gotów byłby do ofiary? Czy wszystko pochłonął już beznadziejnie płaski materializm?

Przypomnijmy sobie czasy bardzo niedawne. Rok 1919 i 1920 oraz 1924. W imię czego składali Polacy dobrowolnie i hojnie daninę krwi, a potem daniny materialne na utworzenie Banku Polskiego? Czy wątpił wtedy kto w istnienie narodu polskiego, czy pragnienie oddania usług narodowi nie było dla Polaka dostatecznym uzasadnieniem ofiary mienia, krwi, a nawet życia? Służba narodowi była w powszechnym wierzeniu wyższym celem, rząd, narodowi służący, opierał się na tytule moralnym, w który wierzyli wszyscy, tak rządzący, jak rządzeni. Cokolwiek potępiającego powiemy o rządach aż do 1926 r. to musimy przyznać, że koalicyjny rząd obrony narodowej w 1920 r. oparty był na mocnym tytule moralnym i dzisiaj jedynie rząd, pełniący jawnie i szczerze służby narodowi, może ubiegać się o tytuł moralny, będący czymś naprawdę naturalnym; wszystko inne to aureola sztuczna, którą rozedrzyć musi pierwszy podmuch wiatru. Jedynie naród jest dziś - obok rodziny - w chrześcijańskiej Europie formacją społeczną naturalną, dostrzegalną dla wszystkich i wrosła w dusze. O nią wesprzeć się musi organizacja państwa, będącego dla narodu tym, czym (jeżeli wolno ze sobą zestawiać rzeczy z odrębnych dziedzin) jest dla Kościoła tzw. *bracchium saeculare*.

W państwie narodowym wszyscy służą narodowi, pełnią służbę szczerą i rzetelną. Toteż zanika przepaść między rządzącymi a rządzonymi, wytworzona przez systemy rządów wolnomularskich.

W państwie narodowym przedział między rządzącymi a rządzonymi traci charakter przedziału kastowego, staje się zaś jedynie odstępem hierarchicznym.

Te słowa mieszczą już w sobie odpowiedź na tak modne dziś zagadnienie „elity rządzącej”. W ustroju narodowym elity w znaczeniu kastowym być nie może. Do służby narodowi, a więc pośrednio do funkcji rządzenia, powołany jest każdy, do narodu należący; nie narusza to w niczym struktury hierarchicznej, tak jak hierarchiczny ustrój armii nie niszczy w ideowej armii samodzielnej wartości bojowej oficerów i żołnierzy. Ideał takiego ustroju, w którym każda jednostka na swym właściwym miejscu pełni narodowi służbę, a więc bierze na swe barki część obowiązków rządzenia, nie będzie pustym ideałem, jeżeli w możliwość jego urzeczywistnienia uwierzą wszyscy w narodzie. A do takiej wiary - wbrew pozorom - niezbyt nam dzisiaj daleko.

Władza w narodzie i w jego państwie oprze się wtedy znowu na mocnym tytule moralnym. W tytuł ten uwierzą wtenczas wszyscy swoi, w Polsce wszyscy Polacy i ci Białorusini czy Rusini, którzy z narodem polskim cywilizacyjnie i uczuciowo współżyją. Czyż plebiscyt w zagłębiu Saary, w którym ponad 90% głosów, w tym tysiące socjalistów i komunistów niemieckich, wyraziło wolę poddania się pod rządy Hitlera, nie jest imponującym uznaniem tytułu moralnego, jaki - niezależnie od indywidualnych poglądów jednostek - zdołał zapewnić sobie rząd narodowy w Niemczech?

W ustroju narodowym - powiedziałem - panuje równość istotna, wszyscy bowiem objęci są obowiązkiem tej samej służby, tylko w różnym hierarchicznie stopniu i wskutek tego w różnym wymiarze. Im wyższy stopień w hierarchii, tym większy wymiar obowiązków i tym większa odpowiedzialność za ich wypełnienie; odpowiedzialność nie tylko moralna czy historyczna, ale po prostu odpowiedzialność kama.

Stosunek rządu narodowego do szerokich mas musi być z natury stosunkiem szczerzej dbałości o ich los; te szerokie masy - to dlań nie „mięso armatnie”, nie tłumy „profanów”, ale to żywa siła narodu. Rząd narodowy nie może się patrzeć biernie, jak siły żywotne polskich mas wysysa wielki kapitał czy mrowie żydowskich pijawek.

Przy takim ogromie obowiązków i przy takiej odpowiedzialności rząd przestaje być przyjemnością czy przywilejem, ale staje się ciężarem, dźwiganym „*pro publico bono*”. W ustroju narodowym rządzący nie żerują na rządzonych, lecz - rządząc - składają ofiarę w służbie narodowi.

W ustroju narodowym stosunek między rządzącymi a rządzonymi przestaje być niepokojącym problemem.

Hierarchia a wolność osobista

Ustrój państwa narodowego, w którym władzę oparto na tytule moralnym, jest ustrojem zdecydowanie hierarchicznym. Jak wygląda hierarchia w państwie narodowym i na czym polega?

Jak wskazaliśmy już poprzednio, nie może ona mieć nic wspólnego z hierarchią mechaniczną, wyrażającą się tylko w prostym fakcie, że jedni są na górze, a drudzy na dole. Ustroje „elitarnie”, zwane w starożytności oligarchicznymi, zawierać muszą jakieś przywileje dla klasy rządzącej. W ustroju narodowym pochod po drabinie hierarchicznej wzwyż nie daje jednostce żadnych przywilejów, zwiększa zaś tylko wymiar jej obowiązków i ciężar jej odpowiedzialności. Jakaż więc zachęta dla jednostek do pochodu wzwyż? Tylko jedna: wiara w ideę, której się służy, potrzeba dokumentowania tej wiary czynem, pozostającym w jakiejś proporcji do możliwości duchowych i umysłowych danej jednostki. Stopniowy pochod po drabinie hierarchicznej, dając jednostce poznać coraz to wyższy wymiar obowiązków i oswoić się z coraz to wyższym ciężarem odpowiedzialności, powstrzyma ją od lekkomyślnego pchania się w górę. Zwiększona odpowiedzialność kama hierarchicznych szczytów stanie się naturalnym hamulcem.

Naród, rządzący we własnym państwie, pociąga do służby publicznej ogół doń należących jednostek w miarę ich sił i możliwości. W takim państwie zatracą się kastowa różnica między urzędnikami państwowymi i samorządowymi a resztą ludności. Przestaje istnieć „biurokracja”. W przeciwstawieniu do ustroju oligarchicznego, w którym mamy jasno zarysowany podział na rządzących i rządzonych, w ustroju państwa narodowego przedział ten się zaciera; hierarchia nie składa się niejako z dwóch kondygnacji, lecz tworzy liczny szereg stopni, jakby długą drabinę, każdy stopień wiąże się z poprzednim i następnym bezpośrednio, nigdzie nie ma wyrwy. W przeciwstawieniu zaś do systemu rządów masonskich ustrój państwa narodowego wolny jest od fałszu i oszustwa; nie ma tu krytych schodów ani wejścia przez tajemnicze drzwi; drabina hierarchiczna jest dla wszystkich widoczna i zrozumiała dla najprostszego człowieka. Jasność celu odrzuca od siebie wszelkie sztuczne zasłony i tajemnicze komplikacje ustrojowe. Doprawdy, sami nie wiemy, wiele powikłanych form dzisiejszego życia publicznego zawdzięczamy jedynie potrzebie osłonięcia przed ogółem tajemniczych celów, do których dążą rządzący na rachunek rządzonych. W państwie narodowym nie może być tajemniczych celów ani ukrytej hierarchii wtajemniczonych. Ustrój państwa narodowego musi się bowiem opierać na hierarchii stopniowanej i ciągłej, dla każdego widzialnej i prostej.

Trudno nam się dzisiaj oswoić z możliwością takiej hierarchii. Ostatnie wieki historii przyzwyczyły nas do ustrojów zasadniczo odmiennych, opartych o całkowicie inne podstawy etyczne i polityczne. Wszystko, co dzisiaj decyduje o formach ustrojowych, jest odgłosem walki

wytoczonej przed wiekami ustrojowi średniowiecznemu pod hasłem obrony praw jednostki ludzkiej przed naciskiem władzy kościelnej. Z początku walka rozgorzała około zagadnień rzekomego konfliktu między wiedzą i wiarą; wiedza, oparta na ludzkim rozumie, pragnęła do absurdu doprowadzić wiarę. Powszechny autorytet moralny wieków średnich, Kościół rzymski, atakowany był zewsząd i pod naporem ataków wycofywał się krok za krokiem. Reformacja otworzyła pewne kraje na oścież dla propagandy indywidualizmu; w krajach trwających przy katolicyzmie lub odzyskanych dla katolicyzmu przez kontrreformację atakujący poszli na chwilowy kompromis z Kościołem, którego wyrazem stały się w filozofii systemy racjonalistyczne, tworzące sztucznie zbudowane pomosty między wiedzą i wiarą, aby w ten sposób unaocznili, jakoby wiara była irracjonalna. Panowanie tych systemów skończyło się, gdy wierzenia rządzących osłabły tak dalece, że można im było bez obawy gwałtownego oporu zadać trutkę „religii naturalnej” i „oświecenia”. Wtedy walka o prawa rozumu ludzkiego, czyli o „wolność myślenia”, została już wygrana, miał się zaś rozpalic nowy bój, tym razem już o prawa jednostki ludzkiej, nawet bezrozumnej, czyli o „wolność działania”.

Doktryny liberalno-demokratyczne i krwawe próby ich wcielania w życie drogą rewolucji podkopały ostatecznie średniowieczne pojęcia o hierarchii, przenosząc ciężar życia zbiorowego na indywidualne jednostki. Rozwój demokracji nowoczesnej musiał iść równo z wyplenianiem w społeczeństwach o cywilizacji chrześcijańsko-rzymskiej instynktów hierarchicznych i z krzewieniem instynktów wolności indywidualnej, wyuzdanej i swawolnej, a więc instynktów anarchicznych.

Socjalizm również nie odwrócił się od liberalnych doktryn „praw jednostki”, dodając do nich tylko jeszcze historiozoficzną doktrynę o „walce klas”, nadającą się świetnie do rozdarcia liberalno-demokratycznych społeczeństw na nieprzejednane obozy, stojące „z nieubłaganej konieczności dziejowej” w ustawicznej walce. W rezultacie doktryny liberalizmu i socjalizmu przyczyniły się waleśnie do rozbicia społeczeństw na jednostki ludzkie, broniące swej wolności i na klasy, broniące swych postulatów gospodarczych. Dbanie wyłącznie o własny interes stało się powszechnym prawem, skupianie się w organizacjach klasowych - wymogiem rozsądku w obronie własnego interesu materialnego, zaś organizacja państwowa - „kontraktem społecznym”, czyli ustępstwem jednostek na rzecz „stanu społecznego” albo... narzędziem „walki klas”. Rozstrajanie instynktów hierarchicznych, konsekwentnie dokonywane przy pomocy tysięcy ludzi będących nieświadomym narzędziem tej propagandy, musiało w końcu w społeczeństwach chrześcijańskich wywołać reakcję; z natury rzeczy zwróciła się ona przeciw sprawcom tego rozstroju, przeciw socjalistom i liberałom, oraz przeciw istotnym sprężynom tej rozkładczej propagandy, przeciw żydostwu i organizacjom wolnomularskim. Pod hasłami wyłączenia międzynarodówek z życia publicznego poszły do ataku nowoczesne ruchy narodowe, faszysty i narodowy socjalizm. Oba ruchy wysunęły dążenie do odbudowy naturalnej hierarchii na obszarach narodowego państwa. Obejmując

ster władzy po wyuzdanych rządach liberalno-demokratyczno-socjalistycznych, oba te systemy ustroju poszły w kierunkach krańcowo przeciwstawnych poprzedniej rzeczywistości. Skrajną wolność jednostki i wolność walki klasowej zastąpiły kultem władzy państwowej i teorią państwa totalnego, czyli dyktaturą państwa nad jednostką, wykonywaną w imię narodu.

Jaskrawa dyktatura państwa, znajdująca swój wyraz zewnętrzny w dyktaturze „wodza”, była naturalnym przeciwstawieniem się bezpośredniej przeszłości; dyktowała ją konieczność schwycenia za pojęcie „agentur obcych”, tych rozwydrzonych bezkarnością międzynarodówek. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach, brzemiennej niebezpieczeństwami, nie można było sobie robić ceremonii; w okresie nieubłaganej walki z „agenturami obcymi” dyktatura musiała zastąpić nieistniejącą narodową hierarchię, stała się nieodzowną bronią. Tylko rząd wyposażony w rewolucyjne pełnomocnictwa mógł doprowadzić przewrót narodowy do zwycięstwa i zapewnić mu trwałość władzy.

Atoli zarówno we Włoszech, jak i w Niemczech rządy dyktatorskie oparte o wszechpotęgę państwa, ciągną się już długo. We Włoszech dyktatura Mussoliniego nie przystają się w żadne uzasadnienia myślowe i pozostaje tylko wyrazem przewagi jednego człowieka nad ogółem jego współpracowników, pomnikiem historycznej roli wodza faszystów. Można mieć chyba pewność, że Mussolini nie znajdzie we Włoszech następcy, który by zdołał wziąć na siebie taki zakres władzy państwowej; dyktatura we Włoszech skończy się zapewne z chwilą wycofania się Mussoliniego z życia publicznego państwa. Nie jest to oczywiście jednoznaczne z upadkiem faszyzmu.

Gdy więc przewlekane się okresu dyktatury we Włoszech jest wynikiem przypadku, wynikiem istnienia Mussoliniego, dyktatura Hitlera w Niemczech od pierwszej chwili została pomyślana jako instytucja trwała, którą ruch narodowo-socjalistyczny opatrzył historycznym uzasadnieniem. Zasadnicze oparcie ustroju państwa na instytucji „wodza” pozostaje w ścisłym związku z całą treścią narodowego socjalizmu. Ubrana w pseudonaukową szatę doktryna antropologiczna, głosząca przewagę rasy nordycznej nad innymi rasami i przysądżająca Niemcom największą nordyczną czystość rasową, wiodła do przeświadczenia, że przedchrześcijańskie prawa i obyczaje starożytnych Germanów, jako wytwór tej najwyższej w świecie rasy nordycznej, winny być prawozorem dla wszelkich reform w narodzie niemieckim. Stąd zdecydowany pęd w obozie narodowo-socjalistycznym ku ideałom starogermańskiej, pogańskiej przeszłości, przybierający niemal charakter ruchu religijnego, powrotu do wierzeń pogańskich. Ruch ten wzmagają jeszcze instynktowna tendencja do przywrócenia narodowi niemieckiemu jedności religijnej i duchowej, utraconej w XVI w. na skutek reformacji. Podstawy prymitywnego zresztą ustroju starożytnych Germanów idealizuje się dzisiaj i podnosi do godności półreligijnych wierzeń. Jedną z tych fundamentalnych zasad ustroju starożytnych szczepów germańskich jest „das Führer prinzip”, czyli oparcie całego ustroju na władzy i przewodnictwie „Wodza”. Dlatego to połączono dzisiaj w osobie

Hitlera władzę kanclerza z władzą prezydenta Rzeszy; nie jest to chwilowa kumulacja uprawni dyktowana względami na taktykę polityczną, lecz dla myśli narodowo-socjalistycznej połączenie trwałe. Jest to dyktatura nowoczesna, wyrosła ze starożytnych, germańskich wierzeń.

Nic nie nadaje się bardziej do naśladownictwa i nic nie przyjmuje się łatwiej, jak rzeczy powierzchowne i zewnętrzne. Kopiowanie tych od razu dostrzegalnych, a przeto najbardziej przypadkowych cech nowoczesnych ruchów reformatorsko-politycznych zastępuje u niektórych ich istotną treść. Faszizm i narodowy socjalizm wywołały głośne podziwki w innych krajach Europy; na ogół jednak we wszystkich tych kołach i krajach, gdzie nie było samodzielnej twórczości myślowej, tam zwłaszcza, gdzie monopol wychowania politycznego ogółu zatrzymały jeszcze w swych rękach międzynarodówki, pochwycono tylko puste formy tych ruchów i podniesiono na piedestał ideału system „autorytatywnych rządów” i zasadę „rządów wodza”, oderwawszy je od ich faszystowskiego czy narodowo-socjalistycznego podłoża. Nie interesuje mnie w tej chwili realizacja tych haseł w praktyce, chodzi mi tylko o wypisanie ich na sztandarach i przyjmowanie z dobrą wiarą przez liczne koła zwolenników. Ale, pozbawiwszy dyktaturę jej wewnętrznej treści, musimy stanąć przed pytaniem, czym różni się ona zasadniczo (nie w praktyce) od sowieckiej dyktatury Stalina?

We Włoszech dyktatura Mussoliniego, ukryta zresztą z lekka za parawanem rządów partii faszystowskiej, wynikła z konieczności taktycznej, zaś przedłużanie się jej grozi w przyszłości faszyzmowi poważnymi komplikacjami. W Niemczech dyktatura Hitlera wynikła z wierzeń narodowych socjalistów i związana jest silnymi węzłami tradycji z przeszłością narodu niemieckiego. U nas natomiast zarówno dyktatura, jak i zasada „rządów wodza” nie posiada żadnej podstawy myślowej ani żadnego związku z tradycją narodową nawet w najodleglejszej przeszłości. Przeciwnie. Już za czasów Piastowskich możnowładztwo uzyskuje w Polsce potężny wpływ na rządy. Jagiellonowie, przywykli na Litwie do rządów autokratycznych, nie narzucili ich Polsce; na odwrót Polska zaraziła Litwę swym systemem rządów wieloosobowych pod kierownictwem króla. W całej Polsce i Litwie za czasów ostatnich Jagiellonów król był tylko pierwszą osobą, pomazańcem Bożym. Reformacja me przez to ugodziła w Polsce w autorytet królewski, że pozbawiła monarchę prerogatyw władzy; w Niemczech przecież ta sama reformacja wzmocniła zakres władzy panujących, stanowiąc, że „*cuius regio, eius religio*”; natomiast podważyła autorytet królewski przez podanie w wątpliwość jego roli, jako pomazańca Bożego. Toteż za panowania królów wybieranych *vintim*, rządy wieloosobowe pod przewodnictwem uświęconej osoby króla przeistaczają się w rządy oligarchii magnackiej z większym lub mniejszym współudziałem króla. Gdy zaś na zachodzie Europy reformacja i racjonalizm filozoficzny dają podstawę rządów „oświeconego absolutyzmu”, w Polsce „oświecenie” zdobywa się tylko za Sasów i za Stanisława Augusta na zakapturzone rządy łóż masońskich, zaś dążenia Sasów do „absolutom dominium” tylko w łóżach znaleźć mogą podatny instrument. Nawet w najgroźniejszych dla Polski chwilach naturalna tendencja do wzmacniania władzy wykonawczej szła po linii zwiększania uprawnień władzy zbiorowej, czego dowodem liczne

w naszych dziejach konfederacje, zawiązywane „za przewodem” króla; wiele z nich zapisało się najpiękniejszymi głoskami w naszej historii.

Pierwsza dyktatura w Polsce - to rewolucyjno-demokratyczna dyktatura Kościuszki, będąca pogłosem dyktatury Robespierre’a w ówczesnym rewolucyjnym Paryżu. Istniała ona zresztą w okresie rozpaczliwej wojny z najeźdźcami tak samo jak późniejsze dyktatury w 1831 i 1863 r. Instytucja dyktatury nie ma więc w Polsce żadnego podłoża w tradycji dziejowej; historia wyrobiła w naszym narodzie instynkty z instytucją dyktatury zupełnie sprzeczne, które w okresie schyłkowym państwa pod wpływem reformacji przeradzały się częstokroć w swawolę; wolnomularstwo znowu swoim rozkładczym doktryneryzmem usiłowało te naturalne polskie instynkty wypaczyć, podsuwając im obcą tradycji treść „umiłowania wolności” w liberalno-demokratycznym znaczeniu tych słów. Stąd to polsko-masońskie „za wolność naszą i waszą”. Z tym zawołaniem na ustach ginęli Polacy ofiarnie na barykadach Komuny paryskiej.

Ten instynkt, który w Polakach wyrobiły dzieje, nie ma nic wspólnego z masońskim „umiłowaniem wolności człowieka”. Nie tkwi w nim żadne nieokreślone „umiłowanie ludzkości”, tak dla doktryny masońskiej istotne; nie gnieździ się w nim tęsknota za jakimś „kontraktem społecznym”, żal za utraconymi „prawami wolności”, poświęconymi z konieczności na rzecz „stanu społecznego”. Brak w tym instynkcie wolnomularskich pierwiastków anarchii, które u schyłku naszej państwowości szczepiła u nas reformacja, a później loże; które później za rządów państw rozbiornych potęgował naturalny antagonizm między narodem a państwem. Polski instynkt tradycyjny - to znany dziś u chłopów polskiego instynkt gromady, znajdujący wyraz w naszych dziejach w instytucjach pospolitego ruszenia i konfederacji, a także w niespotykanym gdzie indziej dążeniu do jednomyślności, możliwym tylko w narodzie, w którym osiągnięcie tej jednomyślności nie mogło być zbyt trudne, w okresie upadku dążenie to wytworzyło zwyrodniałą instytucję „liberum veto”. Polski instynkt - to ponadto zamiłowanie pewnych swobód, bynajmniej nie sprzecznych z istnieniem silnego państwa narodowego i silnych rządów. W tym zakresie to więc przede wszystkim „wolność Tomku w swoim domku” i „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. Widzimy więc, że instynkty narodowe polskie mieszczą w sobie nawet skłonność do daleko posuniętych ofiar pro publico bono, byle nie pod przymusem fizycznym, byle ochotniczych; natomiast na ich tle wyrasta zdecydowany odpór przeciw wkraczaniu jakiegokolwiek władzy w ściśle domowe życie jednostki i rodziny i we wszystkie ich tradycyjne uprawnienia, wytworzone dzięki wiekom wierzeń chrześcijańskich. Dlatego to Komisja Edukacyjna, obalając na przekór ówczesnej szlacheckiej rodzinie system wychowawczy szkół zakonnych, musiała na z górą sto lat przed szkołą rosyjską walczyć z... tajnym nauczaniem.

Walka nieubłagana z instynktami tkwiącymi odwiecznie w narodzie - to prawdziwe „Syzyfowe prace”. Ustrój narodowy musi je nie tylko uwzględnić, ale musi się wprost na nich oprzeć.

Niech nam prostej drogi nie przesłania fakt, że bardzo niedawno instynkty te zostały pozornie uwzględnione w ich odpowiadającym doktrynom masońskim, wypaczonym i pokracznym wydaniu w konstytucji marcowej 1921 r. W istocie swej bowiem polski instynkt „gromady” i instynkt „swobód” nie godzi wcale w taką hierarchiczność ustroju narodowego, jaką nakreśliłem poprzednio; nie godzi się tylko z instytucją dyktatury, z instytucją rządów „wodza”, z rządami kastowej „elity”. Bez tych trzech instytucji może doskonale istnieć silne państwo i silny rząd, tym silniejszy, że naprawdę oparty o cały naród.

Polak i polska rodzina muszą mieć w Polsce określone uprawnienia, chronione bezwzględnie przez przepisy prawa i bezwzględnie szanowane. to przede wszystkim prawo do nietykalności mieszkania, do używania swej własności w granicach nie narażających na szwank dobra narodu, a e z góry jasno określonych, wreszcie prawo rodziców do stanowienia o ich nieletnich dzieciach i o ich wychowaniu. Prawa jednostki polskiej i polskiej rodziny mogą być szczupłe, ale muszą być przyznane niedwuznacznie; muszą być w tych granicach naprawdę święte i nietykalne. Im większe w Polsce poszanowanie „swobód”, tym większą skłonność do ofiar na rzecz narodu i jego państwa wyzwała instynkt „gromady”.

Czas skończyć z doktrynami „szkoły historycznej krakowskiej”, których źródłem zazdrość wobec potęgi przedwojennych cesarskich Niemiec; w naśladownictwie niemieckich wzorów szukała ona lekarstwa na naszą niewolę polityczną; dla uzasadnienia swych twierdzeń wyjaskrawiała naszą przeszłość historyczną i zabarwiła ją tendencyjnie, co już wykazał wielki historyk prawa polskiego śp. Oswald Balzer. W duszy niemieckiej, w przerobieniu Polaków na Niemców duchowych pragnęła znaleźć odtrutkę na nasze „wady narodowe”. Dziś wiemy już z całą pewnością, że nie one spowodowały kiedyś upadek naszego państwa.

Ustrój musi być przystosowany do narodu, jak ubranie do ciała. Import obcych krawców i obcych ubrań jest - być może - hołdem złożonym modzie, ale nie czyni nigdy zadość potrzebom narodu. Tradycyjne instynkty narodu są o wiele mocniejsze niż międzynarodowe organizacje i fabrykowane przez nie doktryny.

W Polsce dewiza Napoleona III: „*tout pour le peuple, mais rien par le peuple*” natrafi zawsze na instynktowny odpór. Nie pod batem przecież stworzyliśmy tak niedawno armię ochotniczą, nie pod nadzorem policji zapisaliśmy na kartach naszych dziejów obronę Lwowa i powstania wielkopolskie i śląskie.

ETYKA W ŻYCIU PUBLICZNYM

Polityka a etyka

Zakochany w nauce w. XIX nie umiał nigdzie obejść się bez definicji. Musiał mieć także definicję polityki. Każdy wybitny polityk czy specjalista od prawa politycznego usiłował stworzyć własną, przy czym ambicja „naukowa” kazała mu z reguły odrzucać krytycznie definicje cudze i zastępować je jakąś definicją własną, w której choć jedno słowo brzmiałoby inaczej. Nie pójdę ich śladem, bo nie oddycham już „naukowością” XIX w. i nie mam zamiaru ćmić czytelnika „nauką” tam, gdzie nie jej miejsce. Każdy wie dobrze, co mamy na myśli, gdy mówimy o „polityce”. Definicja polityki potrzebna jest dzikusom lub gościom z innej planety, a mam poważne wątpliwości, czy potrafiłaby ich oświecić i ułatwić im zrozumienie istoty samego przedmiotu.

Niemniej przeto nie należy zapominać, że wiek XIX przez swe definicje wycisnął charakterystyczne piętno na pojęciach ogółu o polityce; był tu zresztą echem cechujących tę epokę, ogólniejszych tendencji. Z powodzi definicji, wyprodukowanych przez polityków i „uczonych” ostało się kilka popularnych, rzekomo trafiających w sedno. Jedna z nich - to powszechnie znane określenie, wedle którego polityka - to „sztuka dochodzenia do władzy”; druga, w kanapowych grupach niesłychanie wzięta, głosi, że polityka - to „sztuka zawierania kompromisów”. Obie te, najbardziej utarte w XIX w. definicje, mają jedną, istotną cechę wspólną: obie uważają politykę za coś, oderwanego od potrzeb czy pragnień jakiegokolwiek zbiorowości, czynią z niej zaś wyłącznie środek do zaspokojenia celów tych, którzy się tym działaniem, tym „politykowaniem” trudnią. W pierwszym wypadku celem tym jest dojście polityka czy grupy polityków do władzy, w drugim zaś zawieranie kompromisu, czyli umiejętność dogadywania się z innymi politykami, czy grupami polityków, a więc wprawa i giętkość, pozwalające swój własny cel pogodzić chwilowo z celami innych w ten sposób, by był „wilk syty i koza cała”.

Obie te definicje oddają - jak widzimy - pochodzące jeszcze z czasów „oświeconego absolutyzmu” przekonanie rządzących, że nie posiadają żadnego tytułu moralnego, uzasadniającego sprawowanie przez nich władzy, że - jednym zdaniem - władza ich opiera się tylko na sile i na umiejętności postępowania z rządzonymi oraz z przeciwnikami, czyli z tymi, którzy by pragnęli władzę wydrzeć lub wyszachrować z ich rąk. Grupy polityczne na dorobku, kipiące większym „temperamentem politycznym”, bliższe bywały na ogół definicji pierwszej i całą swą działalność polityczną nastawiały na dojście do władzy; *beati possidentes* drżeli o swoją pozycję i odpowiadała im bardziej definicja druga, albowiem ich działanie publiczne zmierzało niemal wyłącznie do utrzymania się przy władzy drogą ustawicznego lawirowania, drogą zawierania zręcznych kompromisów. W tej żonglerce widzieli więc właściwą istotę polityki.

Skoro tylko postępujące „oświecenie” zdołało pozbawić stosunek rządzących do rządzonych założeń etycznych, z tą chwilą polityka ich stała się w teorii, a także i w praktyce amoralna. Uderzenie propagandy wolno- mularskiej w walor zasad etyki chrześcijańskiej w XVIII w. i zastąpienie jej fikcją jakiejś etyki ogólnoludzkiej, niezależnej od wszelkiej religii, fikcją „etyki naturalnej”, uzasadniało w rezultacie dowolność zupełną w ocenie postępowania ludzkiego w życiu codziennym. A cóż dopiero w polityce! Historia wyświetliła już dostatecznie krańcowy cynizm polityki i polityków w okresie „oświeconego absolutyzmu”. Już wtedy zaczęła się w Europie rozpusta polityczna.

Rewolucja francuska, a potem wojny Napoleońskie rozniosły „oświecenie” i pojęcia „etyki naturalnej” wśród szerokich kół ludności; zanik zasad etyki chrześcijańskiej rozprzestrzenił się, jak zaraza, wyplenienie ich stało się miarą „postępu”, wymogiem „naukowego” stosunku do świata. W XIX w. przestali już „postępowi” ludzie gonić nawet za surogatem etyki chrześcijańskiej, jakim miała być „etyka naturalna”; namiastka ta stała im się niepotrzebna w życiu. Etykę zluzował bowiem kodeks karny, co najwyżej uzupełniony niepisany kodeksem jakichś reguł postępowania, zwanych „kodeksem towarzyskim”, czy „regułami gentlemaństwa”. Te prawidła obowiązywać miały oczywiście tylko ludzi na pewnym poziomie i jedynie w życiu prywatnym; życie publiczne, wszystko to, co podpada pod pojęcie polityki, uwolniło się właściwie od wszelkich reguł, krępujących postępowanie. W polityce o doborze środków rozstrzygał skrajny pragmatyzm, talmudyczna zasada: cel uświęca środki. Jaki cel? Tu wróćmy do przytoczonych definicji polityki. Jedyne cele: wedle jednych dojście do władzy, wedle drugich lawirowanie, aby się przy niej utrzymać. Walka o władzę i o wpływy rozgrzesza więc wszystko. To generalne rozgrzeszenie odnosi się do całych grup politycznych. A jednostki? Politycy? Mężowie stanu?

To samo. Także ożywieni myślą o uzyskaniu jak największych wpływów osobistych i osiągnięciu jak największych korzyści. Jeszcze w XVIII w. aż do rewolucji francuskiej, a w wielu państwach aż do rewolucji 1848 r. dostęp do życia politycznego był z reguły ograniczony do warstwy szlacheckiej, w praktyce zaś korzystali zeń tylko członkowie nielicznych magnackich rodów. Demokratyzacja życia publicznego i ustrojów państwowych, parlamentarizm i przemiana ancien regime'u w monarchie konstytucyjne i republiki otwarła kandydatom ze wszystkich warstw drogę do jawnego życia politycznego. Odtąd już nie tylko posłem, ale nawet ministrem mógł zostać każdy, kto zdołał tego dopiąć, nawet każdy, obcy pochodzeniem, jakiś żyd, czy świeżo naturalizowany „obywatel”. Ustrój demokratyczny stworzył w praktyce możliwości, dzięki którym dochodzili do steru ludzie, wybijający się ze społecznych nizin. Przy innym pojmowaniu stosunku człowieka do życia publicznego mogło to być dla narodów chrześcijańskich dać wyniki nader dodatnie, albowiem ujawniałoby stale w narodzie siły nowe, które w innych warunkach pozostałyby ukryte i poszłyby na marne; demokracja nie zaprzęgała jednak tych sił do pracy prawdziwej pro publico bono, lecz ukazywała im jedynie możliwość wydzwignięcia się wzwyż i wzbogacenia się przez udział w

polityce. Demokracja i jej parlamentaryzm namnożył w każdym państwie rzesze ludzi na śmierć i życie z mandatem i z polityką związanych, bo dosłownie żyjących z polityki i nie mogących już poza nią znaleźć źródeł dochodu.

Tacy ludzie już z góry skazani byli na to, by wykonywać jak najbardziej niespodziane łamańce polityczne, byle utrzymać się na powierzchni. Im wystarczyło byle poszept, jakieś rozgrzeszenie, z czyjejkolwiek pochodzące strony, by uwolnić się od wszelkich skrupułów* jeżeli je żywili. Cóż mogło im bardziej dogadzać, jak określenie polityki, jako „sztuki dochodzenia do władzy”? Wtedy przecież już żaden wzgląd nie hamował ich apetytów osobistych, żaden wyrzut sumienia nie wstrzymywał ich w dążeniu do „kariery”. Dopiero demokracja stworzyła pojęcie „kariery politycznej” i „karierowicza”.

W tym nasyceniu życia politycznego ludźmi bez skrupułów walny i bezpośredni udział wzięła masoneria. Organizacja ta o zatajonych celach, hołdująca w całej rozciągłości talmudycznej zasadzie „cel uświęca środki”, stała się doskonałą ostoją dla wszelakiego typu karierowiczów politycznych. Metodą jej działania wobec tego rodzaju adeptów-to jednoczenie ich interesów osobistych z interesami związku; wolnomularstwo pętało ich do tego stopnia udzielaniem korzyści i szantażowało widmem prześladowań na wypadek odstępstwa, że uzyskiwało z kategorii karierowiczów element, zaprzędany bezwzględnie. Karierowicze wiedzieli dobrze, że wszystkie swe sukcesy osobiste zawdzięczali i zawdzięczać będą swej przynależności do łóż; poza niemi nie widzieli dla siebie miejsca w życiu publicznym, w którym nie uśmiechała im się rola męczenników czy abnegatów.

Masoneria swą wewnętrzną atmosferę etyczną dzięki swym wpływom bezpośrednim i doktrynom przeniosła na całe życie publiczne narodów chrześcijańskich. Tam, gdzie nie zdołała jeszcze poczynić wyłomów jej propaganda, zmierzająca do wykorzenienia religii i etyki chrześcijańskiej w życiu prywatnym ludzi, tam jednak zdołała zatruć powietrze swymi doktrynami w zakresie życia publicznego. We wszystkich krajach trafiały się wyjątki: pojedynczy ludzie, a czasem nawet całe grupy polityczne, składające się z ludzi uczciwych. Zdarzali się demokraci, szczerze przejęci troską o wolność jednostki ludzkiej; zdarzali się socjaliści, szczerze współczujący niedoli proletariatu; zdarzali się tym częściej nacjonaliści, a nawet całe grupy nacjonalistyczne, szczerze miłujące swój naród i pragnące mu służyć. Byli to na ogół ludzie w życiu prywatnym bezwzględnie uczciwi. Tych jednak zakażono także powszechnie przyjętym rozumowaniem, które wygląda mniej więcej tak: w życiu prywatnym trzeba być uczciwym, liczyć się z etyką, ale w życiu politycznym, gdzie grasuje tyłu łobuzów i łobuzerskich stronnictw uczciwość, jakieś liczenie się z etyką, nieuchronnie wiedzie do klęski. Człowiek uczciwy, czyli - jak dawniej mówiono - człowiek poczciwy stał się w kołach polityków czymś równoznacznym z człowiekiem naiwnym, wobec przeciwników bezbronny. W polityce żadna etyka nie obowiązuje - stało się ustaloną zasadą.

A więc: tytuł moralny władzy przekreślono, zastępując go poczuciem siły; celem dążeń całych stronnictw, czy ugrupowań politycznych uczyniono utrzymanie się przy władzy, czy też jej zdobycie; przed politykiem postawiono cel w postaci zrobienia „kariery politycznej”, dającej zadowolenie ambicji i namacalne korzyści; uczciwym ludziom wmówiono, że w polityce etyka nie może mieć zastosowania, bo równałaby się kapitulacji. Talmudyczna zasada „cel uświęca środki” zatriumfowała nawet tam, gdzie cel stracił wszelkie cechy świętości.

A jaki z tego wynik? Oto ludzie uczciwi, nie mogący pogodzić się z niemoralnością życia politycznego, uciekają w zacisze prywatnego domu, gdzie wolno im jeszcze zachowywać „przesady” etyczne. W polityce robią miejsce kanaliom, albo ludziom tak giętkim, że ich sumienie wytrzyma doskonale obciążenie grzechami politycznymi. W ten sposób polityka zrywa z uczciwością już nie tylko dzięki wolnomularskiej doktrynie, ale i także wskutek nieuczciwości przeważającej większości ludzi, których zatrudnia. Z oszustem niepodobna porozumiewać się uczciwie, a cóż dopiero bratać się, czy choćby współdziałać w politycznej pracy. Od karierowicza niepodobna domagać się poświęcenia jego interesów osobistych, czy ambicji na rzecz jakiegokolwiek celu wyższego. W takiej atmosferze wszelkie dążenia do rehabilitacji „uczciwej polityki” natrafiać muszą na instynktowny odpór u tych wszystkich, w których osobistym interesie leży, by polityka pozostała nadal rzeczą z konieczności nieuczciwą, a więc najłatwiej dostępną dla ludzi nieuczciwych. Koszty takiej bezetycznej polityki płacą narody własną skórą, co najdotkliwiej odbić się musi na grzbietach tego ogółu ludzi uczciwych, którzy nie biorą udziału w polityce i od jej zatęchłych ustępów odwracają się ze wstrętem. Za korzyści polityków płacą dzisiaj zawsze ci, którzy nie politykują.

Czy w polityce istotnie etyka nie może obowiązywać?

Czy istotnie wiedzie do przegranej? Czy ta polityczna *moral insanity* - to nieodstępny towarzysz życia publicznego? Po prostu, czy każdy naród, choćby wychowany na cywilizacji chrześcijańsko-rzymskiej, musi paść czołem przed talmudyczną zasadą „cel uświęca środki” i stykać się bezustannie z tą jaskinią wyuzdania, jaką jest jego życie polityczne? Czy koniecznie wszyscy musimy brodzić w politycznym bagnie?

Ci, którzy hołdują w całym swym życiu talmudycznej zasadzie „cel uświęca środki”, są konsekwentni, gdy i w polityce stosują tę samą zasadę. Zazwyczaj zresztą i cel, który rozgrzesza stosowane przez nich środki, niewiele ma wspólnego z jakąkolwiek świętością; na ogół bywa to poziomy interes własny polityka, lub jakiejś politycznej grupy. Niekonsekwencja zaczyna się dopiero tam, gdzie ktoś hołduje zasadom etyki chrześcijańskiej w swym życiu prywatnym, uważa zaś, że w polityce etyka, czyli po prostu uczciwość, nikogo nie obowiązuje. Wtedy całe jego życie duchowe staje się z konieczności zamazanym obrazem; jest bowiem odzwierciedleniem stałego kompromisu między zasadami etyki chrześcijańskiej, noszącymi z samej swej istoty charakter norm, obowiązujących generalnie, a zasadą etyki Talmudu, którą stosuje w życiu publicznym. Przecież w

życiu polityka granice między jego działalnością prywatną, a działalnością publiczną nie dają się pociągnąć wyraźnie; linia ta bywa zatarta, jedna dziedzina zachodzi na drugą tym częściej, im bardziej ktoś wrósł w życie polityczne, im bardziej polityka go pochłania. Stopniowe i niedostrzegalnie etyka talmudyczna wkracza zwycięsko w jego życie prywatne, rugując zeń zasady etyki chrześcijańskiej. Natura ludzka zazwyczaj ucieka od dwoistości. Ta chrześcijańska strona życia polityka przeistacza się przeto coraz więcej w czczy pozór, w jakiś szyld, ukazywany ludziom. Polityk staje się człowiekiem „bez przesądów”. W ten sposób polityka demoralizuje samych polityków.

Tak więc doktryna, jakoby w polityce nie obowiązywały normy etyczne, miarodajne dla życia prywatnego, wiedzie w rezultacie do moral insanity polityków także i w życiu prywatnym. A teraz zważmy wpływ takiego stanu rzeczy na szerokie masy ludności wśród narodów chrześcijańskich. Politycy - to ludzie, stojący na świecznikach, dla każdego widoczni; ich przykład zaraża i pociąga; ich powodzenie, osiągnięte bezetycznym postępowaniem, kusi ogół do naśladownictwa. Ale to jeszcze mało. Politycy stwarzają fakty, których istnienie odbija się na życiu codziennym każdego, najskromniejszego człowieka. Co więcej, tworzą prawo, do którego musi się stosować każdy „obywatel”. Prawo to, nadawane przez ludzi, którzy wzięli rozbrat z etyką chrześcijańską, jest tworem zasady „cel uświęca środki”, jest więc w założeniu amoralne. A prawo działa wychowawczo. Niemoralne prawo demoralizuje, rozkłada pojęcia etyczne szerokich mas. Powoli zbliża się chwila, w której wszyscy w narodzie skłonni są do rozejścia się z zasadami etyki chrześcijańskiej, padają plackiem przed etyką Talmudu. W kącie bez wyjścia wciskają ich rządy, prawodawcy, jednym słowem politycy. W ten sposób nawet ludzie, pragnący oddać narodowi usługi, podcinają gałąź, na której siedzą; niszczą historyczne instynkty narodu i te wszystkie wartości, na których można opierać trwałe dzieła polityczne.

Co to znaczy twierdzenie, jakoby polityka musiała być bezetyczna? Czy żadna etyka nie może obowiązywać w działaniu politycznym? Ci, którzy propagują tę zasadę, mają oczywiście na myśli niemożliwość pogodzenia życia publicznego z zasadami etyki chrześcijańskiej, z chrześcijańskimi pojęciami o uczciwości. A czy z inną etyką, z innymi pojęciami o uczciwości da się życie polityczne zharmonizować? W rozumieniu tych przeciwników etyki chrześcijańskiej jest to rzeczą bezsporną, tylko się o tym nie mówi zbyt głośno. Przecież etyka murzyńska: „Źle jest, jak ktoś Kali zabrać krowę, a dobrze jest, jak Kali komuś zabrać krowę”, nie natrafiłaby na żaden sprzeciw w lożach. Co więcej: przecież zasada, mająca dziś pełne prawo obywatelstwa w polityce, jakoby cel uświęcał wszelkie środki - to przecie powszechnie znana zasada etyki żydowskiej, etyki Talmudu. Stąd wynika jasne, że - jak głosi się dzisiaj - polityka nie może się poddać zasadom etyki chrześcijańskiej, natomiast można ją poddać pod panowanie innych zasad etycznych, choćby zasad etyki Talmudu.

Etyka chrześcijańska ma wedle tej doktryny - uniemożliwić prowadzenie polityki celowej i skutecznej. Aby to twierdzenie umocnić, fałszuje się i upraszcza w sposób cyniczny i podstępny przykazania tej etyki, a nadto fałszuje się lub przemilcza przeszłość historyczną Kościoła. Oczywiście, że tak wykoszlawiona etyka, niby to chrześcijańska, jaką podsuwają czytelnikom w swych rozważaniach wrogowie Kościoła, nie dałaby się pogodzić z realnym życiem politycznym.

Na szczęście etyka Chrystusa nie nakazuje ludziom naiwnej bezbronności, ani zwierzenia się podstępny wrogom z własnych zamiarów. Z radości' powołują się wykrętni interpretatorzy chrześcijaństwa na polecenie nadstawienia policzka po doznaniu zniewagi, przemilczając, że nie kto inny, jak właśnie Chrystus Pan powrozami osmagał przekupniów w świątyni. A Kościół, będący w zasadniczej swej linii wiekowym wyrazem nauk: Chrystusa, ma przecież za sobą czyny ziemskiej obrony chrześcijaństwa przeciw jego wrogom; ma w swych dziejach wojny krzyżowe przeciw islamowi, krucjatę przeciw Albigensom i on to właśnie stworzył i uświęcił nazwę „Kościół wojującego” („*Ecclesia militans*”). Nie wolno również zapomnieć faktu, że średniowieczne rycerstwo - mimo swej genezy feudalnej - wiele swoich cech istotnych zawdzięcza właśnie chrześcijaństwu. Bo też powstało i utrwaliło zasady „honoru rycerskiego” w walkach w obronie wiary Chrystusowej, toczonych z Saracenami w Ziemi św. lub z Maurami na półwyspie iberyjskim. I dzisiaj jeszcze, gdy mówimy o postępowaniu „szlachetnym” i „rycerskim”, mamy na myśli postępowanie, zgodne z zasadami etyki chrześcijańskiej.

Etyka chrześcijańska dopuszcza walkę z przeciwnikiem, a nawet wojnę; ale musi to być walka, czy wojna „sprawiedliwa”. Nie będę się silił na określenie tego, cc jest wojną sprawiedliwą; jest to rzecz chrześcijańskiego sumienia. Niewątpliwie jednak rozbój ani wojna o koncesje dla międzynarodowej finansjery nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim pojęciem sprawiedliwości.

Etyka chrześcijańska w sprawiedliwej walce rozróżnia środki godziwe od niegodziwych. Tu znowu musi rozstrzygnąć sumienie. Niewątpliwie jednak udawanie sojusznika, gdy się jest przeciwnikiem, godzenie oszukańczym podstępem w walczącego po rycersku nie mieści się w arsenał godziwych środków walki. Za to każdy rozumie, że przeciw komuś, walczącemu zdradziecko, trucizną, czy sianiem zarazy, nie obroni się jawnym dobytciem miecza.

Etyka chrześcijańska w sprawiedliwej wojnie zezwala na zabicie przeciwnika tak samo, jak pozwala zabić człowieka w obronie życia lub w wykonaniu sprawiedliwego wyroku. Albowiem chrześcijaństwo nie jest martwą, sztuczną doktryną, jak liberalizm, demokracja czy socjalizm i staje się nią tylko w opacznej interpretacji jego wrogów. Dlatego to polityk-chrześcijanin nie musi być wcale takim bezbronnym celem, jak to się wydaje „braciom” z łóż. W danym razie może nawet kąsać dotkliwie i nie musi wcale na łonie „braci” wyplakiwać swoich zamiarów.

Polityka pozornie bezetyczna, a naprawdę hołdująca etyce Talmudu, demoralizuje i rozkłada narody chrześcijańskie i tępi w nich instynkty ofiarności pro publice bono, bez których żaden naród nie przetrwa burzy dziejowej. Przykład rozstroju idzie wszędzie od polityków. I zapytam: czy przeciętny, rozsądny człowiek może w te uwierzyć, że polityk, posługujący się w swym działaniu politycznym nieetycznymi środkami, oszust i kłamca, pozo staje w szczerym, uczciwym stosunku do celu, któremu rzekomo służy, do własnego narodu? Czy ta, głoszona przezeń krzykliwie, chęć służby narodowi, nie jest częścią deklamacją, jednym kłamstwem więcej? Czy - jednym zdaniem - bezetyczny oszust i kłamca jest zdolny do pełnienia bezinteresownej służby na rzecz jakiegoś wyższego celu, czy może się zdobyć na poświęcenie własnych interesów na ołtarzu narodu, pro publice bono? Czy taki polityk zasługuje na zaufanie?

To prawda, że politycy zawsze są ludźmi, a ludzie nigdy nie będą aniołami. Ale dzisiejsze zło nie tkwi w zbrodniczości pojedynczych aktów politycznych, lecz w samym założeniu, wedle którego polityka nie da się pogodzić z etyką chrześcijańską, czyli musi być z zasady nieuczciwa. A przecież przeczy temu zdrowy rozsądek i historia. Aż do XVIII w. taka teoria wywołałaby szczerze oburzenie nawet u większości mężów stanu; jeszcze w drugiej połowie XVIII w. cynizm „oświecenia” musiał się drapować w płaszcz cnoty, a Kaunitz musiał Marii Teresie dorabiać tytuły moralno-historyczne do zagarnięcia części Polski przy pierwszym rozbiórce. Któżby się dzisiaj tak trudził?

Jeżeli pragniemy się wyrwać z zakłętego koła dzisiejszych bolączek i kryzysów i wyprowadzić nasze życie publiczne na światło dnia, to musimy przede wszystkim wierzyć naprawdę, że polityka - to szczytna służba narodowi, do której trzeba przykładać wyższą jeszcze miarę etyczną, niż do prywatnego życia jednostki. Zrozumiemy wówczas, że największą zbrodnią polityka - to oszukiwać i okłamywać tych, którzy mu zawierzyli: swój własny naród, swych własnych zwolenników. O ileż zmieniłyby się na lepsze stosunki w świecie, gdyby mężowie stanu i działacze publiczni zerwali z tak powszechną metodą okłamywania i oszukiwania własnych narodów i własnych sympatyków politycznych, gdyby udało się za jednym zamachem wyplenić ten cyniczny, lekceważący stosunek rządzących do rządzonych, „braci” do „profanów”! Naprawdę dzięki dzisiejszym pojęciom o polityce atmosfera zatęchła już do tego stopnia, że - jeżeli nie chcemy się udusić - musimy co najrychlej otworzyć drzwi na oścież i wpuścić ożywczy strumień świeżego, czystego powietrza.

Tym powiem będzie odrodzenie powszechnego przed wiekami przekonania, że polityka musi być uczciwa, bo jest tak samo działaniem ludzkim, jak wszelkie inne, a tym bardziej odpowiedzialnym, że skutki jego padają swym ciężarem na plecy najszerszych mas ludności, tysiący, milionów ludzi.

Gdy to zrozumiemy, gdy odwrócimy się ze wstrętem od błota, wówczas dostęp do polityki - odwrotnie, jak dzisiaj - znajdą tylko ludzie uczciwi. Polityka pozostanie oczywiście czymś

ziemskim, jak jest nim życie codzienne każdej jednostki ludzkiej; będzie jednak służbą wyższemu celowi, daleko wyższemu nawet niż doraźne interesy jakiegoś pokolenia.

Idea a doktryna

Bez etyczna polityka „brudnych dróg”, która przeżarła była całe życie publiczne XVIII i XIX w., doprowadziła do tego, że spośród polityków rzadko kto wierzył w cokolwiek. Sceptycyzm, a właściwie sceptyczny cynizm stał się ozdobą polityka. Gra całych stronnictw politycznych bywała naigrawaniem się ze wszelkich wierzeń. Sukces polityczny, czy partyjny, a często nawet osobisty stawał się jedynym miernikiem wartości haseł, rzucanych w tłum. Zwłaszcza w ustroju demokratycznym, lecz nie tylko w nim, osiągnięcie poklasku „ludu”, co obiecywało zwiększenie kredytu danej grupy politycznej, przyświecało politykom, jak drogowskaz w ich codziennej drodze. Wodząc „lud” za nos - oto był dowód najwyższej politycznej zręczności. Skoro zaś wszelka etyka skazana została w świecie politycznym na wygnanie, tedy kłamstwo, a nawet oszczerstwo weszło do codziennego arsenału stronnictw, oszustwo zaś wobec własnych zwolenników stało się ulubionym sportem. Byle zręcznym chwytem rozłożyć przeciwnika w opinii „ludu”. Demokracja, oparta już w swych doktrynach na kłamstwie i oszustwie, zrodziła stałe, celowe okłamywanie „ludu”, czyli demagogię.

Wtajemniczeni „bracia” gardzili tłumami „profanów”, toteż nabierali „lud”, to bożyszczce demokracji, bez najmniejszego skrupułu. Im sprytniej, im bezczelniej, tym lepiej. Po cóż rządzeni mieli sobie zdawać sprawę, że rządzący myślą tylko o własnych korzyściach, a co najwyżej o korzyściach własnego, bezetycznego, tajnego związku, zaś nie tylko cały „lud”, ale także własnych niewtajemniczonych zwolenników uważają tylko za mierzwę pod urodzaj własnych plonów? Rządzący nie wierzyli w nic; nic nie pragnęli urzeczywistnić, prócz własnej władzy. Cała ich działalność zmierzała tylko do tego, by się przy władzy utrzymać i zachować jej korzyści. Jedynym ich prawdziwym programem było tak ułożyć stosunki ustrojowe i polityczne w państwie, aby odebranie im władzy stało się jak najmniej prawdopodobne. Cała ich działalność polityczna usiłowała zrealizować ten program w taki sposób, by „lud” te akty polityczne uważał za dokonywane w jego własnym interesie. Trzeba więc było masom ludowym zasadzić głowy chwastami spopularyzowanych doktryn, by oddalić je jak najbardziej od przyrodzonego ludziom prostym zdrowego rozsądku; trzeba było jak najwięcej rozszerzyć „uświadomienie” klasowe lub partyjne. Człowiek prosty, naszpikowany aż po czubki włosów chytrymi broszurkami, nie spostrzegał się nawet, kiedy zatracił ostatnie odruchy samodzielnego rozsądku i oddawał się bez reszty demagogom, którzy tym naiwnym „profanem” całą duszą pogardzali. Po prostu mścili się na nim tą pogardą za to, że na stałe okłamywanie go musieli zużywać tyle wysiłku. Wynajdywanie najzręczniejszych metod tego okłamywania, szkolenie pomocników, czyli agitatorów lub instruktorów partyjnych, pochłonęło lwią część „pracy” polityków. Cały ciężar politycznej

działalności padł na codzienne, drobne posunięcia, na większe lub mniejsze szacherki. Taktyka stała się programem.

Zależnie od okoliczności program utrzymania się przy władzy lub program jej osiągnięcia realizowane bardziej brutalnie, albo bardziej delikatnie. Gdy rządzącym zdawało się, że mogą sobie na to pozwolić, dławili wszelki sprzeciw siłą; gdy pragnący zdobyć władzę mniemali, że są dostatecznie silni, nie cofali się przed zamachem gwałtownym, mającym doprowadzić ich do steru. Gdy atoli jedni i drudzy czuli się za słabi do działalności zdecydowanej, wówczas starali się pojednać chwilowo z zagrażającym im przeciwnikiem; zawierali kompromis. Czasem, zwłaszcza w ustroju republikańsko- parlamentarnym, dwa lub więcej ugrupowań, do siebie zbliżonych, zawierało ze sobą kompromis taktyczny, by wspólnymi siłami dojść do władzy. Istotą takiego kompromisu był podział łupów; podział władzy i jej korzyści. Wówczas ugrupowania drobne, lecz stanowiące „języczek u wagi”, wynosiły do swej spizarni politycznej nieproporcjonalnie wiele. W jawnym ich interesie leżało, by żaden rząd parlamentarny nie mógł się bez ich głosów obejść, by parlament nie posiadał zdecydowanej większości. One to w ustroju demokratycznym troszczyły się o to, by polityka rządu kroczyła drogą, jak- najbardziej pozbawioną wyrazu, by szła po linii „środek”; ten „środek” rządy demokratyczno-wolnomularskie lubiły podnosić do godności zasady, że przypomnę tylko „*le juste milieu*” Ludwika Filipa we Francji. Kompromis stały między doktrynami demokracji, a obrońcami konserwatywnymi ancien regime'u stał się nałogową wytyczną tej rewolucyjnej monarchii.

W pojęciu XIX w. i jego epigonów kompromis polityczny - to nie rezygnacja jakaś, choćby chwilowa, z zasad czy założeń jakiejś grupy politycznej; bo, Bogiem a prawdą, takich świętych, nietykalnych zasad, czy założeń te grupy wcale nie posiadały; kompromis- to porostu chwilowy sojusz między grupami zbliżonymi”, (choćby to byli nawet konserwatyści i socjaliści lub skrajni ludowcy, jak to widywaliśmy w b. Galicji), albo chwilowe zawieszenie broni między przeciwnikami. Ceną tych sojuszów i zawiesznień broni - to nie żadne ofiary zasadnicze, lecz po prostu podział skóry na baranie, na bezbronny „profanie”, podział władzy i wpływów między danymi ugrupowaniami. Oto istotny sens masońskiego kompromisu. Toteż utarło się, że wolno bez ujmy dla głoszonych przez siebie haseł zawierać dziś z kimś kompromis, a jutro wolno go wygolić i zawrzeć przeciw niemu sojusz z jego nieubłaganym przeciwnikiem. Etyka kupiecka, sformułowana w Talmudzie, zadomowiła się w życiu politycznym, wypranym z etyki chrześcijańskiej.

Nawet w chwilach, gdy wypadki zewnętrzne zagroziły bytowi państwa, gdy w całym narodzie budziła się instynktownie chęć zawieszenia walk politycznych, rządy i stronnictwa, oparte o łoże, nie umiały się zdobywać na nic lepszego, jak na „koalicję stronnictw” i na „rządy koalicyjne”; formacjom tym wolno było trwać tak długo, póki zerwanie koalicji groziło każdemu stronnictwu utratą popularności, a więc klęską. Istotą takich rządów koalicyjnych był znowu kompromis, tym

różniący się od tych, o których mówiłem wyżej, że obejmował sobą większą ilość ugrupowań politycznych, o ile możliwości wszystkie. Ale i on polegał na parcelacji władzy i wpływów między uczestników, zaś obrona państwa i narodu przed niebezpieczeństwem schodziła na drugi plan. Nie chcę przez to powiedzieć, by w poszczególnych politykach nie odzywał się w momentach decydujących głos sumienia narodowego, zaduszonego bezetycznym charakterem codziennej polityki; nie to atoli bywało istotnym powodem kompromisu, wskutek którego powstawała „koalicja” i „rząd koalicyjny”. Walki polityczne zawieszał między sobą szczerze „lud”, podzielony na partie, lecz jego kierownicy czekali z zapartym oddechem, kiedy znowu wolno będzie oddać się bezkarnie temu upajającemu i tak zyskownemu zajęciu. Ledwo tylko minęło niebezpieczeństwo, wymuszony kompromis pękał, jak lichy sklecona obręcz, a rząd koalicyjny rozlatywał się od razu. Stronnictwa z całą skwapliwością zdejmowały nałożony im kaganiec.

Może być, że zbyt mocno zaczerpnęłam obraz. Niewątpliwie na tle ogólnej rozpusty uwydatniały się plamy jaśniejsze; politycy są także ludźmi i nie zawsze potrafią się otrząść z „przesądów” etycznych i wyzwolić z odruchów, które im dyktuje instynkt narodowy. Nie zapominajmy jednak o tym, że stosunki w Polsce odbiegały pod tym względem niezmiernie nawet za czasów wyuzdanego demokratycznego partyjnictwa od tego, co się działo we Francji, w przedfaszystowskich Włoszech: czy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, że już ledwo wspomnę państwa południowej, czy środkowej Ameryki. W Polsce bądź co bądź naród zbyt niedawno odzyskał niepodległy byt, by głos poczucia narodowego nie miał kołatać mocno nawet do dusz polityków.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ci cynicy polityczni, doszczętnie wyzwoleni z „przesądów”, wlekli równocześnie za sobą przeogromny balast myślowy, pełen niewzruszonych „prawd”. Demokraci i socjaliści nosili ze sobą przez całe życie torby, napełnione po brzegi „prawdami koniecznymi i naukowymi”, które były dla nich ewangelią polityczną, społeczną i gospodarczą. Dziś jeszcze dla najbardziej wykształconego komunisty cytaty z Marksa lub z pism Lenina wystarcza, by przeprowadzenie jakiegokolwiek dowodu na swe twierdzenie uczynić czymś zbędnym. Czyżby więc moje twierdzenie o bezideowości polityków należało poddać rewizji?

Spróbujmy się porozumieć co do tego, co nazywamy ideą w życiu politycznym. Istotną cechą idei jest - moim zdaniem - uczuciowy stosunek działacza politycznego do tego celu głównego, jaki przed sobą postawił. Jakiż to stosunek uczuciowy? Może to być umiłowanie czegoś, wyrażające się w chęci budowania i tworzenia, albo nienawiść, znajdująca swój wyraz w chęci rozkładania i niszczenia. Im bardziej krytyczny, im bardziej racjonalistyczny staje się stosunek człowieka do jego własnych uczuć, tym one stają się słabsze; im większy багаż racjonalistyczny działacza politycznego, im więcej jego podstawowy cel polityczny przepuszczony jest przez filtr rozumu, im więcej poszukuje się dla niego uzasadnienia intelektualnego, tym więcej odbarwia się z pierwiastka uczuciowego, tym

mniej jest „ideowy”. (Umyślnie używam tego wyrazu w cudzysłowie, by odróżnić jego dziś powszechnie utarte znaczenie od jego etymologicznego sensu).

Nie znaczy to oczywiście, by stosunek ideowy przekreślał rolę rozumu w życiu politycznym; twierdę tylko, że właściwość i godziwość naczelnego celu, któremu poświęca swą działalność „ideowy” polityk, nie może być uzasadniana racjonalistycznie pod grozą, że w niwecz się rozwieje uczuciowa treść stosunku. Umiłowanie czy nienawiść ulatniają się pod wpływem analizy rozumowej; analiza *par force*, na przekór własnym instyktom, rozkłada każdy stosunek uczuciowy, każdą żądzę poświęceń. Działacz polityczny, który by poszukiwał na gwałt dowodów historycznych, socjologicznych, czy ekonomicznych, aby sobie i innym uzasadnić, że istnieje naród i że trzeba działać dla jego dobra, rozkładałby swój uczuciowy stosunek, rozkładałby swą ideę. Są bowiem rzeczy tak proste, że człowiek, obdarzony najbardziej mocarnym intelektem, może je ogarnąć tylko po prostu. Są one tak proste, jak to, cc nazywamy zewem krwi, jak miłość ojcowską czy macierzyńską, zawsze ofiarna. „Ideowy” stosunek - to właśnie taki stosunek uczuciowy, przeciwny wszelkim osobistym wyrachowaniem jednostki i urągający nawet jej instyktowi samozachowawczemu, bo niewołący ją do złożenia ofiary z własnego życia czy daniny krwi; to stosunek uczuciowy, unikający analizy rozumowej, bo rozum w rozkładaniu rzeczy prostych jest nieporównanym mistrzem i zawsze wiedzie na manowce. Stuprocentowy racjonalista musi być w życiu politycznym człowiekiem bezideowym.

Czym różni się od idei politycznej doktryna? Oto właśnie swym bezuczuciowym, na wskroś racjonalistycznym charakterem. Doktryna - to po prostu pewne założenia intelektualne, przyjęte jako prawdy bezwzględne, uznane za oczywiste i nie wymagające dalszego dowodu; z „prawd” tych wypływa konieczność logiczna działania w pewnym, ściśle określonym kierunku. Idea jest czymś gorącym, jak promienie słońca, doktryna czymś zimnym, jak blask księżyca. Gdy idea wzdraga się przed logicznym uzasadnieniem, doktryna poszukuje go najchętniej. Gdy idea słabnie, skoro przepuścimy ją przez filtr rozumu, doktryna nabiera rumieńców. Gdy idea, im bardziej brana jest po prostu, tern łatwiej skłania jednostkę do abnegacji i poświęceń, to doktryna im bardziej została uzasadniona intelektualnie, tern łatwiej niewoli człowieka do działania w myśl jej wskazań, bo wiąże z tein działaniem osobisty interes człowieka, albo też wykazuje mu, że znalazł się w matni, z której rozum daje mu jedno tylko wyjście. Idea wymaga wiary, doktryna zaś wymaga... tomów.

Teraz każdy zrozumie łatwo, w jakim sensie odsądziłem ogół demokratów, liberałów, socjalistów, komunistów, cały ogół polityków mijającej epoki od ideowości. Byli to ludzie doktryny, wielbiciele skrajnego racjonalizmu, nie umiejący się ruszyć bez rozumowego ugruntowania swych naczelných celów politycznych, zaś w głębi duszy sceptycy, nie wierzący właściwie w nic i niezdolni do żadnej abnegacji i poświęceń. Czyż można człowieka bezuczuciowego przekonać choćby najlepszym wywodem rozumowym, że winien poświęcić życie lub powodzenie osobiste na rzecz

jakiegoś wyższego celu? Czyż można się dziwić, że intelektualiści, tworzący zawsze główny trzon polityków, przepojeni racjonalizmem swej doktryny, stawali się w życiu publicznym cynikami? Toteż wśród demokratów, socjalistów, komunistów zdolność do ofiar i poświęceń zachowali wyłącznie ludzie prości, mało intelektualni, których rozum nie miał dostatecznej mocy, by rozłożyć do cna uczucie umiłowania lub nienawiści klasowej, które kazało im zmierzać do jakiegoś celu.

Byli jednak intelektualiści, zaliczający się do głosicieli tych doktryn, którym nie sposób odmówić ideowego stosunku do swego naczelnego celu politycznego: byli to niektórzy żydzi, głoszący te doktryny i roznoszący je po świecie ze świadomej lub podświadomej nienawiści do ustroju społeczeństw chrześcijańskich. Ci posługiwali się tymi doktrynami, jako - ich zdaniem - walnym środkiem na rozsądzenie narodów chrześcijańskich, na wtargnięcie nie tylko w głąb ich życia publicznego, ale w głąb ich ducha. W służbie temu celowi gotowi byli do ofiar i poświęceń nawet wtedy, gdy trzeba było własnym przykładem zagrazać chrześcijańskich adeptów do ofiarnego, zdecydowanego działania. Jakkolwiek ci ludzie z natury rzeczy byli tylko pozornymi wyznawcami głoszonych przez siebie doktryn, jakkolwiek istotną sprężyną ich działania była nienawiść do ustroju społeczeństw, wśród których żyli, niemniej przeto byli wśród intelektualistów w szeregach demokratów, socjalistów, czy też komunistów jedynym elementem naprawdę ideowym.

Doktryna mniej wrasta w życie człowieka niż idea. Uczucia są zawsze czymś głębszym, bardziej z człowiekiem związanym niż sądy wyrozumowane, choćby najbardziej przemyślane. Ale dlatego właśnie idee są bliższe rzeczywistości niż doktryny; pochodzą z życia bezpośrednio. Idea polityczna może żyć nawet bez żadnego aparatu umysłowego, nawet wtedy, gdy jest zupełnie irracjonalna; zważmy choćby szaleńczą, lecz stanowiącą jedno pasmo poświęceń działalność anarchistów. Natomiast doktryna wymaga jak największego arsenału umysłowego, by była brana serio.

Wyznawcom idei wystarcza wizja, by zapłonęli wiarą w jej urzeczywistnienie, zwolennikom doktryny trzeba programu, by potraktowali na serio możliwość jej realizacji. Dla doktryny realizacja - to uzgodnienie szczegółów życia politycznego czy ustrojowych z jej wymogami, choćby w sposób naciągany i sztuczny, dla idei realizacja - to przesiąknięcie nią całej rzeczywistości, to jej zbratanie się z całą rzeczywistością codzienną. Doktryna realizuje się przez kompromis z rzeczywistością, idea przez jej duchowe uzgodnienie ze swą treścią. Doktryna buduje rzeczywistość „naukowo”, od szczegółów do całości, idea przetwarza życie od całości ku szczegółom.

Idea sama wyznacza drogę swej realizacji w życiu. Taktyka ideowego polityka czy grupy politycznej - to prosta droga, wiodąca od chwilowej rzeczywistości do wyższego celu; element gry politycznej jest tu daleko bardziej ograniczony, niż przy działaniu politycznym grup bezideowych. Dotyczy to przede wszystkim idei pozytywnych, opartych na umiłowaniu jakiegoś wyższego celu.

Idee, czerpiące swą moc z nienawiści, bywały mniej wybredne w wyborze dróg realizacji. Jest to całkiem zrozumiałe.

Doktryna nie przesądza wcale taktyki, zmierzającej do jej urzeczywistnienia. Taktyka może być czymś równoznacznym ze zdradą idei, lecz nigdy nie może być mowy o zdradzie doktryny. Doktryna nie jest bowiem niczym świętem, nie można jej niczym pohańbić; można ją realizować krętymi ścieżkami, podstępem oszustwem. Właściwie i idea, wyrosła z nienawiści, dopuszcza nieetyczne środki walki; jedynie idea, wypływająca z umiłowania jakiegoś wyższego celu, wymaga drogi prostej i szlachetnych środków walki. Byłaby przeto w gorszym położeniu od tamtych?

Doprawdy, nie. Przecież mówiłem już przedtem, że etyka chrześcijańska nie oznacza w polityce ani naiwności, ani bezbronności. Nadto posiada jeszcze idea broń, którą nie rozporządza żadna doktryna, w postaci entuzjazmu i ofiarności swych wyznawców. W tym jej potęga. Doktryny więdną, lecz idee zwyciężają w końcu. Z jednej strony ofiary i wyrzeczenia, z drugiej zaś właściwa ludzom ideowym agresywność i śmiałość wiodą ich prędzej, czy później do triumfu.

Między idealizmem, a realizmem politycznym niema wcale sprzeczności. Trzeba tylko dobrze się porozumieć, co się myśli, gdy się mówi o realizmie politycznym. Dla doktrynera realizm - to liczenie się z rzeczywistością, jak z kimś obcym, to „podchodzenie” jej, by od niej coś wytargować na rzecz swej doktryny; jeżeli jednak nadarzy się sposobność, to doktryner chwytą rzeczywistość za gardło, by od niej wymusić jak najwięcej gwałtem. Z takim pojęciem realizmu idealista nie ma oczywiście nic wspólnego. Idealista polityczny mieszka niejako w otaczającej go rzeczywistości. Zna ją, jest to jego rzeczywistość, nie jest ona dlań czymś obcym, choćby przeciwstawiał się jej całą siłą uczucia, rozumu i woli. Dla niego realizm polityczny - to tylko trzeźwa ocena terenu, na którym działa i materiału, na którym opiera swą polityczną pracę. Idea, wyrastająca z umiłowania jakiegoś wyższego celu, jest sama przez się czymś realnym, czymś tkwiącym w owej rzeczywistości, którą należy przeistoczyć. Realizm doktrynerski - to handel z istniejącą rzeczywistością, to proceder kupiecki, realizm idealisty - to realizm, właściwy aryjczykom, to postępowanie z rzeczywistością za pan brat, jak z kimś bliskim. Realizm doktrynera - to produkt jego podstępnych i wrogich zamiarów wobec rzeczywistości, realizm aryjski - to produkt zdrowego rozsądku, to prosta ostrożność lekarza, polegająca na tym, że stara się, godząc w chorobę, nie ugodzić równocześnie w chorego.

Realizm doktrynera liczy się z tym tylko, co dostrzeże lub wymaca dzisiaj; ukryte wnętrze tej rzeczywistości jest mu całkowicie obce i niedostępne. Obliczenia jego nie sięgają głębin, nie sondują tych pokładów, które niczym na powierzchni nie zdradzają swej obecności, choć nie są mimo to mniej realne od zewnętrznie dostrzegalnych. Natomiast realizm idealisty obraca się swobodnie w tych podziemnych warstwach, z nich czerpie najistotniejszą swą treść i na nich opiera nadzieje swego zwycięstwa. Te wartości, nie ujawniające się na powierzchni życia, a przeto dla obcych

niedostrzegalne i niemal nieistniejące, te czynniki niewymierne, choć potężne, to niezawodna broń w ręku idealisty politycznego. Jej siły przeciwnik nie docenia, wydobyć jej na jaw - to dla niego kompletne zaskoczenie. Wystarczy tylko przypomnieć pochód faszystów na Rzym, a lepiej jeszcze ogarnięcie władzy przez narodowych socjalistów w Niemczech, choć na tydzień przedtem cała prasa żydowska i socjalistyczna świata promieniała optymizmem i zapewniała swych czytelników buńczucznie, że Hitler - ów biblijny Haman - został już ostatecznie pogrzebany. Triumf idei bywa z reguły niespodzianką dla doktrynerów, piorunem z jasnego nieba, zdarzeniem z czwartego wymiaru.

Imponderabilia mszczą się zawsze na tych, którzy nie umieją ich dostrzec i ocenić ich wagi i na tych, którzy te wartości uczuciowe zuchwale biorą w szulerską rękę, aby ich użyć do jakiejś własnej, fałszywej gry.

Wiedza na usługach polityki

Wolnomularstwo XVIII i XIX w. stworzyło i opanowało wiedzę o specyficznym charakterze i oddało ją na usługi swych doktryn. Celem tych gałęzi nauk, ad hoc stworzonych lub specjalnie propagowanych, było dać wszechstronne podparcie „naukowe” twierdzeniom politycznym, społecznym i gospodarczym, które kierownicy „braterskich” związków pragnęli zaszczerpić wszystkim ludziom myślącym. W pierwszym okresie chodziło przede wszystkim o zniszczenie wiary w dogmaty chrześcijaństwa, by poderwać skutecznie wpływ polityczny organizacji Kościoła, który tak wydatnie wpłynął był na bieg dziejów w czasie kontrreformacji. Toteż pierwsze coup „naukowe” miało za zadanie zdyskredytować wierzenia chrześcijaństwa w oczach wykształconego ogółu. Zadanie to spełniała filozofia, która wzięła sobie za cel wykazać niezgodność nauk chrześcijaństwa z wiedzą, a nawet z rozumem ludzkim, czyli ich „zacofanie”. Tę misję wykonywała filozofia „naturalna”, podrzucając społeczeństwu katolickim w miejsce religii chrześcijańskiej i etyki chrześcijańskiej opartą na rozumie „naturalnym” religię „naturalną” i etykę „naturalną”. Nikt zapewne nie ośmielił się dziś przeczyć, że filozofia encyklopedystów stała się potężną bronią na usługach polityki łóż i wywarła rozstrzygający wpływ na wybuch Wielkiej Rewolucji we Francji.

W Niemczech tak samo wybitny wpływ polityczny wywarła filozofia Kanta z jej apriorycznymi sądami, zawartymi w „czystym rozumie”. Doktryna ta ufundowała dzieło jego następców, w szczególności zaś historiozofię Hegla, którego uczniem filozoficznym - nie należy o tym zapominać - był Marks. Historiozofia Hegla umożliwiła właściwemu twórcy doktryny socjalistycznej podparcie teorii o stałej walce klas, będącej rzekomo istotnym sensem dziejów, konstrukcją całego systemu historiozoficznego, opartego o „żelazną konieczność”, która w dziejach ruchu socjalistycznego, a także w jego interpretacji bolszewickiej tak doniosłą gra rolę.

Równie poważną misję do spełnienia przeznaczono w XVIII w. nowopowstałej gałęzi „wiedzy”, nazwanej ekonomią. Już merkantylizm stał się czynnikiem wybitnie politycznym przez umocnienie „oświeconego absolutyzmu”, gdyż oddał w ręce rządzących, którzy właśnie uczyli, że władza ich opiera się li tylko na sile, potężny wpływ na życie gospodarcze państwa w zakresie znacznie większym, niż przedtem. Następca jego, fizjokratyzm, wykonał zadanie inne: uzasadnił on doktrynalnie przerzucenie głównego ciężaru podatków na rolnictwo, a więc na wieś, odciążając w ten sposób miasta i rozwijający się w nich w drugiej połowie XVIII w. przemysł fabryczny. Ułatwił on polityczno-społeczny bunt burżuazji i rozkwit wielkiego kapitału. Dopiero atoli szkoła liberalna w ekonomii, działająca już w okresie rozwoju produkcji fabrycznej i towarzystw akcyjnych, rozpoczęła walkę bezpośrednią, by utorować drogę do panowania w chrześcijańskim świecie lożom masonskim i międzynarodowemu kapitałowi. Doktryna liberalna, wsparta o filozofię „naturalną”, rozgrzeszyła człowieka z wszelkich grzechów, popełnianych z żądzy zysków; już jej ojciec, Adam Smith, profesor

etyki „naturalnej”, a więc autorytet w sprawach moralności, rozgłosił, że „dążenie do osiągnięcia jak największego zysku jak najmniejszym wysiłkiem” jest „naturalnym” dążeniem każdego człowieka. Na tej zasadzie etycznej rozpoczęła się orgia wielkiego kapitału, trwająca po dziś dzień, z której korzystają w pierwszym rzędzie żydzi. Później drugi koryfeusz liberalizmu ekonomicznego, teraz już czysty żyd, Dawid Ricardo, poszedł jeszcze dalej, uzasadniając „naukowo”, że jedynie zmniejszenie płac robotniczych może dać przedsiębiorcom zysk, zaś inne środki celu tego nie osiągną. Sens praktyczny takiej „nauki” mógł być tylko jeden: było to niejako wezwanie pod adresem wielkiego kapitału, by w pogoni za jak największym zyskiem, zdobywanym jak najmniejszym wysiłkiem, rozgrzeszonej przez profesora etyki „naturalnej”, szedł jedyną drogą, wskazaną przez „naukę” ekonomii i obdzierał pracowników ze skóry. Aby zaś proletariuszom miejskim, bezbronnym wobec wyzysku, nie zechciało się w przodującej w zakresie przemysłu Anglii uciekać z powrotem z miast na wieś i zmniejszać podaż rąk roboczych, aby przeciwnie zmusić tłum wiejski do dalszego napływu do miast i - w myśl zasady popytu i podaży - doprowadzić do jeszcze dalszego obniżenia płac robotniczych, tedy bankier londyńskiej City bierze się „naukowo” do rolnictwa i tworzy swą teorię „renty gruntowej”, z której wynika niezbicie, że Anglikom nie opłaca się uprawiać własnej gleby, jako mało urodzajnej; dzięki jego teorii i pod jego bezpośrednim wpływem Anglia w połowie XIX w. zniosła cło na zboże zamorskie i położyła własne rolnictwo, stając się krajem jednostronnie przemysłowym.

Tak to doktryny, rozszerzone przez „naukę” ekonomii, przyczyniły się walnie do wypaczenia rozwoju gospodarczego i społecznego narodów chrześcijańskich. Im należy w wielkiej mierze zawdzięczać wyzysk wielkiego kapitału i powstanie mas proletariatu miejskiego. I znowu tym proletariatem opiekuje się natrętnie ktoś obcy. Przecież żyd, Marks korzysta właśnie z doktryn swego współrodaka, Ricardo, by unaocznic swą doktrynę nieubłaganej i nieuchronnej walki klas! Socjalizm, budując swój system ekonomii, nie mógł się obejść bez krańcowych sformułowań liberalizmu.

Do pomocy filozofii i ekonomii nadbiegły pod koniec XIX w. jeszcze nowe „nauki”, jak socjologia, religiologia i „naukowa” statystyka. Tej ostatniej jako nader interesującej broni w walce doktryn z życiem i rzeczywistością warto parę słów poświęcić. Uwielbienie dla cyfry cechowało ów typowy owczy pęd XIX w. i początków XX w. do „naukowości”. W życiu publicznym cyfra stała się dogmatem. Expose rządowe, czy przemówienia wybitnych parlamentarzystów musiały być naszpikowane cyframi. Statystyce „naukowej” przypadłe zaszczytne zadanie wyciśnięcia z nieszczęśliwej, bo tak pomiatanej przez doktrynerów, rzeczywistości całej „prawdy”, zakłętej w cyfry. Tymczasem, kto kiedykolwiek parał się naprawdę z cyframi, dostarczającymi przez jakiegokolwiek statystyki, ten wie dobrze, jak, operując tym samym materiałem, można swobodnie przy pewnej zręczności dowieść dwóch sobie przeciwstawnych twierdzeń. Statystyka nie jest „nauką”, lecz pomocniczym środkiem administracji państwowej. Trzeba zawsze pamiętać, że papier

jest przedmiotem martwym, cyfra statystyczna także, a nawet żywa rzeczywistość skrzeczy nader rzadko głosem dosłyszalnym i posiada anielską cierpliwość. Wybucho i strząsa z siebie objedzonych naciągana statystyką doktrynerów dopiero wtedy, gdy już przeciągnięto strunę do ostatka.

Jeszcze jedną naukę oddali magowie lożowi w służbę swej polityce: *magistram vitae*, historię. Po cóż zabrali do swego arsenału czcigodną naukę o przeszłości? Właśnie dlatego, że uchodzi za „mistrzynię życia”. Tak więc spreparowana i zabarwiona doktryną nauka o przeszłości miała uzasadnić teraźniejszość i przyszłość. I oto dostojna mistrzyni życia narodów aryjskich została podstępnie wciągnięta do spelunki politycznej, by apoteozować wśród narodów szczytną rolę wolnomularstwa, lub umacniać doktryny Marksa i jego współrodaków. Fałszowanie przeszłości stało się ulubioną metodą tych „ludzi nauki”.

Propagandowy, polityczny charakter tak nadużytych „nauk” zdradza ostatecznie jej namiętna, broszurkowa popularyzacja. Po prostu wygląda od stu lat tak, jakby koniecznie chodziło o to, by jak najwięcej prostaczków, jak najwięcej „profanów” z tak spreparowanej „wiedzy” skorzystało. Od dziecka pakuje się tak wykoszlawioną wiedzę w bezkrytyczne mózgi maluczkich, by je zagwoździć raz na zawsze. Obeznanie z popularnie podanymi „prawdami” filozofii, historii, ekonomii i socjologii stało się wymogiem „ogólnego wykształcenia”. I o dziwo! Dzieje się to w okresie, gdy jak najdalej posunięta specjalizacja człowieka, tworzenie zeń maszyny „do specjalnych poruczeń”, czyli tak zwanego „spec” stało się najważniejszym zadaniem wykształcenia młodych pokoleń. Po prostu niech ten nieokrzesany „spec”, pełniący służbę niewolnika tak samo w ustroju wielkokapitalistycznym, jak i w ustroju bolszewickim, ma jeden niefachowy promień wiedzy w życiu: ten właśnie, który nastawi mu jego fachowy, jednostronny mózg raz na całe życie i każe mu wszystkie zbrodnie i gałgaństwa naokoło siebie uważać za naturalny, uzasadniony „naukowo” dopust życia społecznego. Jeżeli tak uwierzy, to się nie zbuntuje.

„Spece” nie są niebezpieczni dla żadnego rządu i dla żadnego ustroju. Wystarczy dać im marnie zjeść i lichy ich przydział, wsadzić na noc pod jakiś dach, a pracują gorliwie. Myślą tylko w wąskich ramach swej codziennej pracy; tam są wprost nieodzowni. Natomiast poza tymi opłótkami nie myślą wcale, albo co najwyżej trwają pod urokiem tego, czego nauczono ich za młodych lat, kiedy wolno im było jeszcze kształcić się „ogólnie”. Nie tylko przecież ustrój gospodarczy, ale powszechna opinia „myślicieli społecznych” podały w pogardę ludzi, wykształconych szerzej; ten człowiek uniwersalny, będący jeszcze ideałem wykształcenia renesansu, otrzymał teraz pogardliwe miano „dyletanta”. Któż będzie się kwapił do rozszerzenia horyzontu swej wiedzy, by zyskać taki przydomek? Przecież wiedza ludzka jest dziś za obszerna, by nawet najgenialniejszy człowiek mógł stać się wielostronnym „specem!” Człowiek, ogólnie wykształcony, nie będzie więc fachowcem w żadnej dziedzinie, a jak takiego „dyletanta” zatrudnić w naszym zmaszynowanym życiu? Uniwersalizm wygnany został sromotnie ze współczesnego życia między złodziejów, którym

jednym pozostawiono prawo posługiwania się wytrychem „uniwersalnym”. Kluczem myślowym „specy” można otworzyć tylko jeden zamek; mechanizmy, wymagające do otwarcia bardzo wielu kluczy, dla narodu „speców” muszą pozostać nieodgadnione. Tajemnica ich otwarcia będzie zawsze wyłączną własnością wtajemniczonych w sekrety tajnych związków międzynarodowych.

Mamy pierwszorzędnych inżynierów, prawników, przyrodników, historyków, pedagogów; iluż jednak mamy ludzi, umiejących myśleć samodzielnie w zakresie nauk technicznych i przyrodniczych, prawniczych, historycznych, pedagogicznych równocześnie? Jeżeli do odcyfrowania jakiegoś podstępnego, wrogiego planu trzeba równocześnie i w równej mierze wiedzy historycznej, gospodarczej, prawniczej, filozoficznej i t. d. - to gdzież się znajdzie taki człowiek? Czy wśród „speców”? Przecież nawet komisja różnych „speców” nie wyłoni z siebie syntezy.

No tak. Specjaliści, czyli-jak się dziś mówi z odcieniem lekceważenia - „specy”, są niezbędni i na nich opiera się codzienne życie narodu. Ale również niezbędni są uniwersaliści, czyli - jak się dziś znowu mówi z pogardą - „dyletanci”. Dopiero ich harmonijna współpraca daje wiedzę w szacie skończonej, syntezę prawdy.

Szata nauki została splamiona przez pokątne związki. Wiedza, zamiast dostarczać ludziom prawdy, otrzymała hańbiące rozkazy i musiała współuczestniczyć w dokonywanym oszustwie. A przecież w oczach aryjczyka wiedza jest czymś dostojnym. Ma ona zaspakajać wrodzoną mu żądzę poznania prawdy, tak obcą ludom, wyrosłym wśród wiedzy tajemnej. Służba na usługach wiedzy - to dla aryjczyka praca z istoty swej bezinteresowna, a tym bardziej beztendencyjna, „*sine ira et studio*”. Nawet wiedza, stosowana w życiu, nie odziera jej prawd z owego wysokiego, obiektywnego dostojństwa; to tylko naturalne korzystanie z poznanych prawd. Szacunek dla prawdy jest duszy aryjskiej tak wrodzony, że trudno jej w to uwierzyć, by ktokolwiek ośmielił się fałszować ją bez skrupułów dla jakiegokolwiek celu; stąd to nabożeństwo aryjczyka dla szaty naukowej, w jakiej mu się podaje jakieś twierdzenia, stąd ta, tak pomiatana przez ludy Wschodu, „aryjska naiwność”. Stąd to, tak częste, pytanie: czy to możliwe, by ktoś dla własnych celów hańbił naukę, czyniąc z niej dziewczkę publiczną na usługach swej żądzы panowania nad innymi? A tymczasem inne ludy, innego-typu ludzie nie odczuwają tutaj żadnych skrupułów.

Chcę uniknąć nieporozumień. Nie przemawiam wcale przeciw używaniu wiedzy w polityce, lecz jedynie przeciw jej nadużywaniu, jej gwałceniu dla doraźnych celów. A zarazem przeciw mobilizacji całego rusztowania naukowego, przeciw ciągnięciu nauki za włosy, by uzasadniać rzeczy z natury swej proste, bo oparte na uczuciach i instynktach. Nie jest to bynajmniej jednoznaczne z propagowaniem agnostycyzmu politycznego.

Idea lęka się uzasadnień naukowych; powodują one jakby wyładowania elektryczne, pozbawiające ją mocy potencjalnej rozbijają jej uczuciową potęgę. Ale wcielanie idei w życie wymaga jak najwięcej wiedzy, jednak wiedzy prawdziwej, nie zaś fałszowanej dla celów propagandy.

Realizacja idei stawia przed politykiem narodowym tak olbrzymie zadania, że wymagają one wiedzy na dzisiejsze czasy zaiste niezwykłej. Dla wywiązania się ze swych zadań winie by on na dobrą sprawę znać całą, otaczającą go rzeczywistość i jej genezę, czyli jej przeszłość. Byłaby to wiedza olbrzymia i na ogół w tych wymiarach nieosiągalna. Należałoby ją jeszcze powiększyć przez poznanie teraźniejszej rzeczywistości tych narodów, z którymi naród własny się styka w przyjacielskich czy wrogich stosunkach oraz ich przeszłości historycznej. Tak więc wcielanie idei narodowej w życie wymaga wiedzy wszechstronnej i prawdziwej. Znajomość teraźniejszej rzeczywistości zapewni politykowi narodowemu realizm w jego działaniu, do którego już z natury, jako ideowiec, ma wszelkie dane; znajomość przeszłości pogłębi jego zrozumienie rzeczywistości dzisiejszej, da mu perspektywę, uchroni go od polityki na krótką metę, od ponawiania błędów, które w podobnych sytuacjach popełnili kiedyś inni.

Niemożliwość osiągnięcia ideału nie wyłącza możliwości zbliżenia się doń. Ale tu trzeba powiedzieć wyraźnie: obecnie panujący system wychowania nie sprzyja bynajmniej wyłanianiu z narodu mężów stanu. Obecny system szkolny czyni wszystko, co może, by odstręczyć wychowanka od uniwersalizmu, by uniwersalizm podać w pogardę. Warunki gospodarcze dokonują reszty. Dziś nikt niemal nie zmierza do tego, by nauczyć się myśleć samodzielnie (nie tworzyć naukowo, bo to coś innego), w rozbieżnych gałęziach wiedzy. Jakimże więc cudem jest dzisiaj ten błogosławiony „dyletant”, umiejący „myśleć generalnie”, jak to określił nieboszczyk Zagłoba! Czyż w tych warunkach należy się dziwić, że „mężów stanu” pożyczają narody aryjskie od obcych, od koczowników, od różnych międzynarodówek? Tam mają całe składy, jak w domach towarowych, sprzedających wszystko.

I dla „speców” znajdą się pełne odpowiedzialności miejsca w ustroju narodowym, byle nie w polityce, bo tam są naprawdę do niczego. Oni są tym elementem, na którym wspiera się codzienna praca narodu i codzienna jego twórczość. Chłop jest tak samo „specem”, jak inżynier czy lekarz - powiedzmy to sobie wyraźnie. „Spec” - jak wiemy - stał się niewolnikiem tak samo w ustroju wielkokapitalistycznym, jak i w ustroju komunistycznym. Pod tym względem jedynie bolszewicy okazali konsekwencję, bo wprowadzili również bez obłonek niewolę chłopca. Ustrój wielkokapitalistyczny czyni z chłopca pół „specy”, pół kapitalistę, jakiś cudaczny twór gospodarczy, któremu zresztą przez usta wieszczów socjalistycznych z dawna prorokuje zgubę. Otóż każdy „spec” w ustroju narodowym, to nie niewolnik, ale postać wielce szanowna. Trzeba raz skończyć z tym dziwolągiem, stworzonym przez mijającą epokę,

że od wykształcenia domaga się skrajnej specjalizacji, zaś „specja” trzyma się w niewoli i pogardzie; że człowieka ogólnie wykształconego, o ile się taki wyrwie z trybów obecnej szkoły, także nazywa się pogardliwie „dyletantem” i daje mu do zrozumienia, że bez zatonięcia w specjalizacji nie znajdzie dla siebie miejsca w życiu. Któż więc może żyć bez pęt niewoli i bez brzemienia pogardy? Uprzywilejowana kasta rządzących, owych wtajemniczonych „braci”, dla których rzesze „profanów” stanowią mierzwę pod rozkwit ich fortuny.

Wiedza ludzka w ciągu wieków tak wielkie objęła zakresy, że posuwanie jej naprzód w pojedynczych jej gałęziach wymaga daleko posuniętej specjalizacji. Kto chce dziś się oddać pracy ściśle naukowej, musi nieuchronnie stać się specjalistą. Ale i życie praktyczne nieodzownie wymaga specjalizacji. Niepodobna być dobrym inżynierem, lekarzem, adwokatem, rolnikiem i t. d. nie będąc specjalistą w swoim zawodzie. Toteż rola specjalistów w narodzie - to umożliwienie mu codziennego życia, umożliwienie produkcji gospodarczej, twórczości naukowej oraz wszelkiej twórczości w zakresie stosowania wiedzy w życiu codziennym.

Ale właśnie dlatego, że rozwój nauki i życia pcha ogół do specjalizacji, nie wolno specjalisty upadłać i pogłębiać wielkokapitalistycznym czy bolszewickim obyczajem. Należy go przede wszystkim uchronić przed zasklepieniem, przed zmaszynowaniem, równoznacznym z zaturaniem duszy, podając mu w młodych latach, zanim specjalizacja go pochłonie, wiedzę ogólną i prawdziwą, nie zaś od początku specjalizowaną; dalej wiedzę prawdziwą, nie zaś tendencyjnie spreparowaną. Pozostanie mu z tego świadomość, że horyzonty wiedzy sięgają daleko, że jego specjalność jest tylko wycinkiem wiedzy; będzie wiedział, że poza metodą myślenia, właściwą jego specjalności, istnieją także inne, równouprawnione metody myślenia i ujmowania zjawisk; oceni, że jego stanowisko specjalisty w pewnym zawodzie jest posterunkiem w wielostronnym życiu narodu.

Nie wolno jednak zapominać o tym, że i bez pewnej, nielicznej zresztą, garści uniwersalistów naród nie może się obejść. I dla nich musi się znaleźć miejsce w narodzie, miejsce właściwe. Nie tylko w polityce, ale i na wielu innych, podrzędnych nawet, posterunkach najpożyteczniejszą pracować mogą właśnie ci uniwersalni „dyletanci”. Rzadcy w życiu narodu wybitni „dyletanci” - to szeregi, z których wyłaniać się mogą prawdziwi mężowie stanu. Czymże, jak nie „dyletantami”, są Mussolini czy Hitler? Ci uniwersalni mężowie stanu są powołani do tego, by na podstawie pracy specjalistów stwarzać syntezy w teorii i w życiu.

Nigdzie w świecie chrześcijańsko - rzymskim specjalistom nie będzie lepiej, póki na czele narodów nie staną narodowi politycy i mężowie stanu, głęboko i uniwersalnie wykształceni „dyletanci”, którzy brak specjalizacji okupią tym, że będą umieli i mogli „myśleć generalnie”. Ich narodowa ideowość oraz ich związek z rzeczywistością swego narodu, które zawdzięczać będą brakowi doktryn, dadzą najlepszą rękojmię, że - ożywieni bezinteresownym umiłowaniem swego

narodu - zdjęmą z barków tych „speców”, pohańbionych przez dzisiejsze ustroje, to odrażające piętno niewoli i poniżenia.

Dopiero państwo narodowe, w którym naprawdę wszyscy sobie są równi, bo wszyscy na wyższej służbie, zapewni każdemu na jego właściwym stanowisku prawdziwe poczucie godności, które zjawia się tylko tam, gdzie ktoś ma swój własny zakres działania i własną ponosi odpowiedzialność.

Instynkt osiadłości

Jesteśmy narodem, osiadłym od kilkunastu stuleci. Wyrobiły się w nas instynkty osiadłego narodu; dzięki nim tylko w stanie osiadłym może nam być dobrze, jedynie w takich warunkach potrafimy żyć i rozwijać się. W urzędzeniach, odpowiednich dla ludów koczowniczych, musielibyśmy zmarnieć. Nie potrafimy już włączyć się po świecie w poszukiwaniu chwilowych ojczyzn. *Ubi patria, ibi bene* - to już nie dla nas.

Dla nas ziemia jest świętością; wiążą nas z nią więzy uczuciowe. Znojnny trud chłopa na roli - to w naszych oczach jeszcze jedno więcej umocnienie stosunku człowieka do ziemi. Właściwie w każdym z nas, o ile wielkie miasto nie przeżarło go już na wskroś, drzemie atawistycznie przekazana tęsknota za wsią i jej życiem. Po dziś dzień jesteśmy z ducha narodem rolniczym, na przekór kominom fabrycznym i kruzgankom kopalń. Towarzystwa akcyjne, weksle i harmider giełdy nie wrosły nam jeszcze w duszę.

A tymczasem warunki gospodarcze wypędziły nas ze wsi i pognały do wielkich miast, skazując w nich na bezrobocie i nędzę. Po prostu nie mamy na wsi co robić; od połowy XIX w. nowoczesne życie pędzi nas do miast. Warstwa ziemiańska z roku na rok bankrutuje, puszcza swą ojcowiznę i w dalszych pokoleniach tworzy w miastach proletariat inteligentki, owych pogardzanych „speców”. Masy chłopskie duszą się na wsi w ciasnocie gospodarczej i byle przejściowa koniunktura ściąga je również do miast, gdzie narasta proletariat robotniczy, przemieniający się w okresach kryzysu w proletariat bezrobotnych i bezdomnych. Towarzyszą im w tej niedoli inteligentcy „spece”. Miasta bezdomnych Polaków na polskiej ziemi, jakby wielkie, nieogrzone przytuliska. Lepianki niewolników.

Te tłumy, garnące się w mury miejskie, natrafiły na własnej ziemi na miasta obce. Polskie miasta upadły już doszczętnie w XVII stuleciu i zostały pochłonięte przez żywioł żydowski. Stały się odtąd ostoją napływową, koczowniczej ludności. Stały się miastami żydowskimi nie tylko z wyglądu zewnętrznego, ale i z ducha. Nowopowstałe w XIX w. miasta, zakładane przez wielki kapitał niemiecki, żydowski czy francuski, nie prześcigały brakiem polskiej duszy miast historycznych. Łódź czy Sosnowiec nie były pod tym względem wiele gorsze od Krakowa, czy Warszawy. Jedynie na polskich ziemiach zachodnich atrakcyjna siła interesów wielkiego kapitału, koncentrującego się w środku i na zachodzie Niemiec, wyciągnęła po 1870 r. ogół ludności żydowskiej z miast ówczesnego zaboru pruskiego, zaś polska samoobrona gospodarcza dokonała reszty. Dziś i to poczynają żydzi odrabiać.

W rękach żydów i faktorowanego przez nich międzynarodowego kapitału znalazło się całe bogactwo miast na obszarze ziem polskich; Polacy, wypędzeni ze wsi przez nędzę i

wielkokapitalistyczny przewrót gospodarczy, szli im na służbę, a tylko nieliczne jednostki dla swych nazwisk rodowych, czy dla resztek kapitału, którym rozporządzały, znalazły dostęp do uprzywilejowanej warstwy wyzyskiwaczy polskiej pracy, zazwyczaj w jawnej lub wstydliwie ukrytej spółce z żydami. Ogół tą, czy tamtą drogą, ojciec, syn lub wreszcie wnuk, wchodził w kadry najemnego proletariatu miejskiego i pędził ciężki żywot na usługach obcych.

I tak żydzi, stanowiący w miastach polskich żywioł najbogatszy, w ustroju wielkokapitalistycznym polską plutokrację, od chwili, gdy miasta poczęły nadawać ton życiu duchowemu i umysłowemu kraju, stali się dyktatorami w zakresie powodzenia polskiej twórczości naukowej i artystycznej, dyktatorami w polskim życiu gospodarczym, a wskutek tego wszystkiego uzyskali przemożny wpływ na nasze obyczaje i na nasze życie publiczne. Polskim pozostał dziś w Polsce niemal jedynie proletariat miejski, inteligencki i robotniczy, uzależniony od żydów materialnie do ostatka i bieda chłopska na wsi, samowystarczalna w swej nędzy.

Na zachodzie Europy przewrót wielkokapitalistyczny XIX w. zastał w miastach, które napełnił zgiełkiem giełd i fabryk, rdzenne mieszczaństwo, z dawna osiadłe i posiadające instynkty ludzi osiadłych. Mieszczaństwo francuskie czy włoskie, niemieckie czy angielskie, holenderskie czy szwedzkie, związane było ze swym miastem tysiącem nici, węzłów idealnych, nawet grobami pradziadów. Dzieje tego miasta, wspomnienia obrony jego murów przed najeźdźcą, tak często krwawej i ofiarnej, duma z jego znaczenia w przeszłości - to wszystko najuboższy mieszczanin uważał za swoją własność, za swoją spuściznę. U nas resztki samodzielnego życia polskiego mieszczaństwa, bogatego w tradycje własnego, średniowiecznego ustroju, zakończyły się właściwie już w XVII w. rozpaczliwą obroną przed zalewem żydowskim, beznadziejnymi próbami trwania przy przywilejach „*de non tolerandis ludaeis*”, które zwycięskie żydostwo z biegiem XVIII i XIX w. zmieniło w praktyce na własny przywilej „*de non tolerandis Christianis*”.

Tak więc żywioł polski, wypchany ze wsi do miast przez wielki przewrót gospodarczy, zastał je w rękę obcych i - pozbawiony oparcia - musiał iść do nich na służbę. Gdybyż przy tym natrafił był na żywioł obcy wprawdzie, ale podobny mu etyką i instynktami, jak to się na przykład stało w Czechach, gdzie ludność wiejska czeska napłynęła do miast, ogarniętych przez ludność niemiecką! Wtedy z biegiem lat dokonałby się ten proces, jaki widzieliśmy w średniowiecznej Polsce, a jaki dzisiaj obserwujemy w Czechach: obok niemieckiego mieszczaństwa narastałoby polskie, asymilując tamto stopniowo do swego języka i narodowości. Dwa narody o instynktach ludów osiadłych mogą żyć bezkarnie obok siebie, opasane tym samym murem. Niepodobna atoli połączyć umiłowania murów swego miasta z koniecznością żydowskiego, rytualnego odratowania, z koniecznością „ejruwu”. Żydzi nie byli nigdy i nigdy nie potrafią stać się mieszczanami polskiego kraju, pozostać mogą tylko w duszy swojej przejściowymi mieszkańcami polskich miast. Stanowić będą zawsze element niestały, związany z danym miastem tylko interesem materialnym i na tak długo jedynie,

póki ten interes trwa. Stosunek ich do miasta nie jest miłością człowieka osiadłego do ziemi, z której żyje od pokoleń, do murów, w których od pokoleń mieszka, lecz jest typowym stosunkiem rabunkowym koczownika, który dziś jest tu, a jutro tam, któremu inwestycje opłacają się tylko wtedy, gdy sam z nich zbierze plon. Dzieci jego bowiem najprawdopodobniej przeniosą się już gdzieindziej.

Ten żywioł koczowniczy, który opanował był nasze miasta, uzależnił od siebie materialnie ludność polską, przybywającą ze wsi i narzucił jej swoją duszę koczowniczą. Napływ polski nie znalazł w miastach żadnej ostoji, która by mu pomogła w obronie jego polskiej duszy. Nawet osiedlające się w miastach, lepiej sytuowane, więc bardziej niezależne, elementy szlacheckie poszły od XVIII w. na zbliżenie do żydów i we wzajemnej harmonii rozpoczęło się trwające przez lat z górą sto pięćdziesiąt dzieło asymilacji. Liczne tysiące żydów przyjęły chrzest i ogłosiły się za Polaków, zmieniając nazwiska i koligając się z rodzinami polskimi. Pozornie była to asymilacja żydów do polskości i do chrześcijaństwa, w praktyce jednak - poza nader nielicznymi wyjątkami - miał tu miejsce wielki proces asymilacji Polaków do duszy żydowskiej. Ciąży on na Polsce po dziś dzień, zaś w niedawno minionym okresie uprzemysłowienia i napływu ludności polskiej do miast pozbawił te, wykolejone gospodarczo polskie masy jedynej możliwej ostoji i oddał je na pastwę koczowniczego żywiołu żydowskiego. Brak polskiego mieszczaństwa stał się nie tylko luką w naszej strukturze społeczno-gospodarczej, ale równocześnie wykoszlawieniem duszy narodowej.

Na zachodzie Europy wielkokapitalistyczny przewrót gospodarczy nie poczynił tak katastrofalnych wyrw w psychice pojedynczych narodów. Tam bowiem po upadku politycznym i gospodarczym wsi i stanu szlacheckiego znalazł się zasobny i zdolny do życia stan trzeci, owa burżuazja, której ekspansja oddała część przemysłu i handlu w ręce rdzennej ludności. Dzięki temu proletariat francuski, niemiecki czy angielski znalazł się choć częściowo pod wpływami rodzimymi.

Dlaczego tylko częściowo? Albowiem cały system, stworzony przez przewrót wielkokapitalistyczny, musiał działać nieuchronnie przeciw interesom narodów osiadłych i niwelować ich właściwości duchowe, po prostu wynaradawiać psychicznie. Złożyło się na to kilka czynników. Wywrócenie historycznej hierarchii społecznej w sposób rewolucyjny bez zastąpienia jej nową; podważenie religii i etyki chrześcijańskiej, w której te narody wyrosły, wskutek czego runęły podstawy cywilizacji, na których kształtowały się te narody i nabierały swych odrębności. Na ten osłabły odpór natrafiały warunki gospodarcze, których logicznym wynikiem była tendencja do przekreślania pojęcia ojczyzny i międzynarodowość. Przecież zysk, którego osiągnięcie jak najmniejszym wysiłkiem stało się naturalnym dążeniem człowieka, można było daleko łatwiej osiągać za granicami swego kraju, gdzieś za morzami, niż w ojczyźnie. Triumfalna ekspansja kolonialna niektórych narodów pozbawiła je w rezultacie milionów ludności, które zatracaly stopniowo wszelki związek z macierzą, że wspomnę tylko Stany Zjednoczone Ameryki Północnej,

które swój związek z Anglią zerwały na drodze zbrojnej, oraz państwa Ameryki południowej, które usamodzielniały się całkowicie od swych hiszpańskiej czy portugalskiej macierzy.

Z drugiej strony znowu ludność rdzenna, pozostała w kraju, została uzależniona materialnie od obcych kapitalistów i od obcego kapitału. Wytworzył się proletariats robotniczy, wypędzony ze wsi przez widmo nędzy, a z miastem nie związany niczym, poza żądzą zarobku, poszukujący tylko możliwości wegetacji. Ten proletariats, wyzyskiwany przez pojętnych uczniów Adama Smitha i Dawida Ricardo, przez przedsiębiorców i kapitalistów własnych i obcych, także w rezultacie był dla narodu stracony; Marks i jego uczniowie mogli go z powodzeniem przekonywać, że - nawet na własnej ziemi wyjęty spod praw - naprawdę „nie ma ojczyzny”. Toteż nieszczęsny lud wielkomięski wędrował koczowniczo za zarobkiem, gdzie popadło, nawet za morza.

Tak więc oba czynniki, charakteryzujące wielkokapitalistyczny przewrót i przezeń wytworzone, nie posiadały ojczyzny, były bezdomne; bezdomny w każdym tego słowa znaczeniu, nie tylko w przenośnym, był proletariats miejski; bezdomny był także wielki kapitał, koczujący po całym świecie. Dla jednego, jak i dla drugiego słowo „ojczyzna” stało się pustym dźwiękiem. W wyniku ustroju kapitalistycznego władzę nad światem zagarnęły dwie międzynarodówki: międzynarodówka złota i międzynarodówka socjalistyczna; obie reprezentujące czynniki koczownicze, nie mające żadnego związku z ziemią, ani z instynktami narodów osiadłych i obie jednakowo pozostające pod wpływem masonerii. Obie, aby rozerwać związek człowieka z ziemią i z tym, co go otacza bezpośrednio, stworzyły obce ludom osiadłym, anonimowe systemy własności; wielki kapitał towarzystwa akcyjne, weksle i wszelkie typy papierów na okaziciela; socjalizm w swej realizacji rosyjskiej skomunizowanie własności, nawet drobnej własności ziemskiej. Z jednej strony międzynarodowy rabunek, którego najbardziej bezbronnymi ofiarami są ci, którzy najuporczywiej przechowują instynkty narodów osiadłych, z drugiej wyzucie całego narodu z osiadłości na drodze krwawej rewolucji, aby ziemia i wszelkie dobro stały się łupem koczowników. I w tym pierwiastku koczowniczym znowu powód, dla którego wielki kapitał i gospodarka bolszewicka, liberalizm i etatyzm gospodarczy, wolnomularstwo i rząd komisarzy, demokracja i beznarodowe rządy autorytatywne mogą sobie podać bratnie dłonie; wspierają się wzajemnie w walce z instynktami narodów osiadłych, są - jako przedstawiciele instynktów koczownictwa - naturalnymi sojusznikami. I jedne i drugie żyją tylko w ramach gospodarki wszechświatowej i - zgodnie z jej wymogami - ustawiają życie wszystkich narodów osiadłych; to tak, jak owczarze ustawiają barany, by dogodniej i łatwiej dawały się strzyc.

Tylko naród osiadły posiada ojczyznę; dla koczownika ojczyznę jest cały świat, tam, gdzie mu chwilowo lepiej, czy wygodniej. Człowieka osiadłego własność interesuje tylko na jego ziemi, w obrębie jego osiadłości, dla koczownika własność możliwa jest wszędzie, gdzie uda się ją zdobyć lub zrabować. Nie wiąże się z nią uczuciowo, bo jutro zapewne ją ciśnie i pogoni za inną. Człowiek

osiadły gospodaruje swą własnością na pokolenia, bo liczy się z tym, że służyć ona będzie jego dzieciom i wnukom; koczownik „eksploatuje” swą własność, obchodzi się z nią rabunkowo, byle wycisnąć z niej „jak największy zysk jak najmniejszym wysiłkiem”, a potem szukać innej, gdzie się zdarzy. Czyż można się dziwić, że tak mało monumentalnie wygląda architektura miast XIX i XX w. w Europie, a tym bardziej w Polsce? Czy budowanie jak najwięcej z jak najmniejszym wysiłkiem nie stało się naczelnym wskazaniem? Kto buduje dziś na dłużej niż na jedno pokolenie, na krótkotrwały pobyt koczownika?

W każdym narodzie osiadłym potęgowanie tych instynktów osiadłości, jak najściślejsze wiązanie rdzennej ludności z jej ojczyzną, musi być jednym z naczelných dążeń rządu narodowego. Żaden ułamek żywej siły narodu nie może mu być obojętny. Każdy Polak, kimkolwiek jest i gdziekolwiek się znajduje, w interesie całego narodu musi czuć nad sobą tę rękę opiekuńczą, usiłującą go jeszcze bardziej związać z ojczyzną. Z drugiej zaś strony każdy Polak musi wiedzieć, że tylko spełnianie obowiązków wobec narodu daje mu pełnię praw i ochronę organów państwowych. Wyjęcie spod prawa, stosowane ongiś w orzecznictwie karnym, miało dla skazanego daleko groźniejsze skutki, niż stosowane dzisiaj „pozbawienie praw”; było to po prostu pozbawienie skazańca prawa do dachu nad głową, do otrzymania gdziekolwiek przytułku i pożywienia. Wyjęcie spod prawa - to naturalna, choć sroga kara, wymierzana przez narody osiadłe tym, którzy popełniają ciężkie zbrodnie przeciw ich całości; pozbawienie praw - to tylko symboliczna, formalna kara dzisiejszego ustroju koczowniczego. Obejmuje skutkami swymi tylko jedno terytorium państwowe, co zniewala koczownika co najwyżej do udania się gdzieindziej. Jest rzeczą znamionną, że dzisiejszy ustrój narodowo-socjalistyczny w Niemczech przywraca karę „wyjęcia spod praw” w zastosowaniu do zdrajców stanu.

W ustroju narodowym własność jest jedną z ości osiadłości. Musi więc być chroniona, ale tylko w tych przejawach, które sprzyjają rozwojowi instynktów osiadłości w narodzie. Musi ona służyć z jednej strony utrzymaniu właściciela i jego rodziny, z drugiej jednak równocześnie narodowi. Wyniknąć stąd muszą jej ograniczenia w sensie moralnym i prawnym. Dotyczy to nie tylko własności nieruchomości, ale także pewnych rodzajów własności ruchomej. Wszystkie te rodzaje własności nieruchomości i ruchomej, które wiążą człowieka ściślej z krajem i z miejscem stałego pobytu, muszą być poddane specjalnej opiece i kontroli państwa narodowego i ograniczeniom w stosunku do obcych. Jest to pewnego rodzaju własność powiernicza, dostępna z reguły tylko dla „swoich”.

„*Prima charitas ab ego*” - to nie „egoizm narodowy”, ale proste prawo życia, nie godzące w etykę. Prawo do jedzenia, do pracy, do życia mają na swym terytorium przede wszystkim jego właściciele, naród, który na nim osiedlił się odwiecznie. Z tym muszą się pogodzić obcy przybysze i koczownicze ludy, choćby ich umysły koczowników nie mogły tego pojąć, a dusza koczownicza

odczuć. Prawo do ziemi, prawo do ojczyzny jest kardynalnym uprawnieniem narodów osiadłych. Ten instynkt własności - to tylko powszechnie w świecie uznane prawo gospodarza, który swą gościnność może posuwać bardzo daleko, ale nigdy tak daleko, aby miał gościom odstępować swą ojcowiznę.

Na naszej strukturze gospodarczo - społecznej brak polskiej ludności w miastach, która by posiadała instynkty ludności osiadłej, zaciężył nieznośnie. Tego stanu, jaki mamy dziś w Polsce, nie wytrzyma żaden naród, jeżeli tylko znajdzie dość siły, aby się obcej narośli pozbyć. Kwestia zalania Polski przez koczowniczy żywioł żydowski - to nie żaden „problem polityczno-społeczno-gospodarczo - kulturalny”, ale to po prostu zagadnienie czy naród, odwiecznie osiadły na swej ziemi, znajdzie dość siły, by się pozbyć koczowniczego żywiołu, który w okresie jego słabości i upadku wpełznął się na jego dzierżawy i nie pozwala mu żyć i rozwijać się normalnie, nie pozwala mu mieszkać spokojnie w jego własnym domu. Wszelkie komplikowanie kwestii żydowskiej w Polsce - to sofisterya na usługach nieproszonych gości, to tak częste dziś u nas zaćmiewanie rzeczy prostych.

Narody osiadłe nigdy nie przerobią się na koczowników; gdy ktoś obcy wydrze im odwieczną osiadłość, to odzyskują ją albo giną. Nie umieją rabować ani zebrać gościny u obcych.

Prawo wobec etyki i obyczajów

Prawo w pierwotnych społeczeństwach tak samo, jak i władza, od której pochodziło, miało charakter sakralny; dawało mu to moc i powszechne poszanowanie. Stąd jego ścisły związek z panującą w danym społeczeństwie etyką. Etyka i prawo - to kiedyś pojęcia nierozdzielne. Nawet jeszcze w wysoko już ukształtowanych społeczeństwach średniowiecznych prawo miało dawać wyraz etyce chrześcijańskiej, choć obok niego pojawiały się przepisy prawne, etycznie obojętne, będące regulowaniem pewnych spraw w interesie władzy lub w interesie uporządkowania stosunków między ludźmi. Były to przepisy o charakterze porządkowym, których ilość wzrastała w miarę komplikowania się stosunków gospodarczych i społecznych oraz potrzeb administracji. W ten sposób zarysował się wyraźny podział norm prawnych na prawa, będące niejako przystosowaniem zasad etyki chrześcijańskiej do codziennego życia i na prawa porządkowe, których autorytet moralny opierał się jedynie na tytule moralnym władzy, pochodzącej „z Bożej łaski”. Te mogły być dowolnie zmieniane, zależnie od uznania i potrzeb każdorazowej władzy. Część z nich tylko, dzięki długotrwałemu obowiązywaniu, wrastała głęboko i tworzyła prawo zwyczajowe. Niektóre z tych przepisów porządkowych średniowiecza weszły w obyczaj do tego stopnia, że dziś jeszcze widzimy ich resztki, jak np. urzędnicy cechowe w rzemiośle. U narodów, których rozwój społeczny i polityczny szedł drogą mniej łamaną, bardziej ewolucyjną, jak w Anglii, siła prawa zwyczajowego przetrwała po dziś dzień i umożliwia opieranie na nim wymiaru sprawiedliwości sądowej.

W wiekach średnich prawem podstawowym, z którego zasadami liczyły się wszelkie inne przepisy, było prawo kanoniczne. Wyłom czyni w tym stanie rzeczy dopiero okres odrodzenia i reformacji przez zapoczątkowanie recepcji prawa rzymskiego. Tu należy stwierdzić dla uniknięcia nieporozumienia, że recepcja prawa rzymskiego, trwająca w Europie aż po początek XIX w. (kodeks Napoleona i kodeks austriacki), była przejściem prawa rzymskiego w jego postaci późnocesarzowskiej i bizantyńskiej, w kodyfikacji cesarza Justyniana (VI w. po Chr.). Było to prawo od starorzzymskiego prawa cywilnego co najmniej tak odległe, jak dzisiejsze prawo handlowe od zasad kodeksu Justyniana. Starodawne rzymskie *ius Quiritium* zostało przecież już w okresie Rzeczypospolitej przebudowane pod wpływem praw, obowiązujących w innych państwach Italii, podbijanych przez Rzym; owo prawo tych ludów sąsiednich, *ius gentium*, było przeważnie prawem kolonistów pochodzenia greckiego i fenickiego, odpowiadającym potrzebom handlu. Rozszerzenie się imperium rzymskiego na cały basen śródziemnomorski, wciągnięcie w orbitę państwa rzymskiego ludów azjatyckich i północnoafrykańskich, doprowadziło przez wieki do daleko sięgających zmian w obowiązującym prawie, zbliżyło je do praw i obyczajów tych ludów Wschodu. Szczególnie utrwalił się ten proces w państwie wschodnio-rzymskim, w cesarstwie bizantyńskim, które objęło swymi granicami właśnie te ludy wschodnie. Toteż w kodyfikacji prawa, dokonanej za panowania cesarza

Justyniana, a więc już po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego, z dawnego ducha rzymskiego pozostała chyba tylko logiczność konstrukcji; najbardziej podstawowe, najbardziej wchodzące w głąb życia codziennego ogółu instytucje prawne, podstawy prawa małżeńskiego i rodzinnego, podstawy prawa spadkowego i zobowiązań nie miały już z duchem rzymskim nic wspólnego.

Recepcja prawa Justyniańskiego w Europie stała się właściwie uderzeniem w prawo kanoniczne, stała się laicyzacją prawa. Gdy zaś w szerokich masach trwały gorące wierzenia religijne, laicyzacja odrywała prawo od jego dotychczasowych podstaw, pozbawiając je związku z etyką chrześcijańską. Odgradzała także prawo od panującego obyczaju, czyniła zeń zbiór norm, nadanych dowolnie przez władze, których jedyną sankcją mogła być tylko siła fizyczna, zmuszająca ludność do posłuchu. Uniezależniane stopniowo od etyki i obyczajów, stawało się prawo ramieniem rządzących, środkiem, który pomagał im w utrzymaniu się przy władzy. Odtąd nie zasady prawne, zgodne z wierzeniami i obyczajem ludności, lecz martwa litera prawa rozstrzyga o stosunku jednostki do państwa i o stosunkach między ludźmi. Zaczyna się w zakresie wymiaru sprawiedliwości królowanie interpretacji i dowolności, lekceważące deptanie poczucia prawnego, wyrobionego przez wieki osiadłego życia, na rzecz gimnastyki prawniczej. Prawo, będące przedtem stosowaniem w życiu praktycznym zasad etycznych, którym ogół hołduje i obyczaju, który ogół szanuje, przerodziło się w powódź norm, nieznaną w całym zakresie nawet specjalistom, zaś interpretacja jego zawitych postanowień, jego enigmatycznej litery, stała się rodzajem zawodowego sportu, interesującą grą, opartą na czysto abstrakcyjnym myśleniu. Prawodawstwo zatraciło wszelką perspektywę, zaginęła jakakolwiek hierarchia praw. Bo jakaż miała przetrwać tę rewolucję w pojęciach ludności? Na czym miałyby się oprzeć? Z jakiego to powodu przepis o tym, jakie małżeństwo uważa państwo za ważne, miałby być ważniejszy od przepisu, zakazującego rozniecania ognisk w lesie? A jak można się domagać perspektywy w przepisach prawnych? Jakiż to uzasadniony powód wzbraniałby prawodawcy w przepisach, zarządzających na nowo sprawę łowienia ryb w nieuregulowanych potokach, przewrócić do góry nogami dotychczasowe normy, obowiązujące w zakresie zobowiązań? Jest to przecież wyłącznie zagadnienie natury formalnej, zagadnienie zręcznej kodyfikacji. Co najwyżej sędziowie, adwokaci i urzędnicy pobiją się trochę nad zastosowaniem „litery prawa” i będą mieli trochę kłopotu z zastosowaniem przepisu, wedle którego „*lex posterior derogat priori*”, ale od czego uczy się ich mozolnie abstrakcyjnego, prawniczego myślenia? A ludność? Im prawo bardziej zagmatwane i nieprzejrzyste, im mniej laikowi dostępne, tym huczniej prawodawcy i wykonawcy prawa wybijają zasadę, że nieznaną prawo nie uwalnia nikogo od jego skutków. W ten prosty sposób porządek prawny zostaje zapewniony.

Jedynymi przepisami, postawionymi ponad innymi, stały się w XIX i XX w. te postanowienia, które mają zapewnić rządzącym pozostanie przy władzy lub jakiś kompromisowy jej podział; są to tzw. ustawy zasadnicze, czyli konstytucje. One jedne, będąc próbą utrwalenia stanu faktycznego w państwie, czyli istniejącego kompromisu między rządzącymi, a tymi, którzy by chcieliby rządzić z

ich miejsca, one jedne cieszą się specjalną powagą prawną. Cóż dziwnego? Przecież w ustroju politycznym, wytworzonym w XIX i XX w., w którym władzy w państwie zabrakło tytułu moralnego, w którym oparła się tylko na sile, kwestia, kto rządzi, stała się zagadnieniem najważniejszym dla rządzących i dla tych, co chcieliby ich złuzować dla własnej korzyści. Dlatego to normy, ustalające powstawanie rządu, musiały się cieszyć specjalną ochroną formalną i karną.

Prawo, oderwane od etyki chrześcijańskiej i od obyczaju, pozostawiło jednak sądom pełnienie „wymiaru sprawiedliwości”. Wydawać by się mogło człowiekowi, rozumującemu kategoriami, niezależnymi od doktryn XIX i XX w., że sprawiedliwość - to pojęcie jak najściślej zbratane z określoną etyką. Nic podobnego! „Sprawiedliwość” - to dziś pojęcie o czysto formalnej treści; to po prostu treść przepisów, zawartych w obowiązującym prawie. „Wymiar sprawiedliwości” - to stosowanie tych przepisów. Nie opierają się one o żadną etykę, chyba, że przyjmiemy istnienie jakiejś etyki, obowiązującej w państwie, w każdym innej, co więcej, w tym samym państwie bezustannie zmiennej, której jedynym fundamentem byłaby wola legalnych władz, tworzących i zmieniających prawo.

Czyżby więc etyka chrześcijańska, wyrugowana z „wymiaru sprawiedliwości”, została w nowoczesnym państwie zastąpiona chaosem, bezładem i dowolnością? Tak tragicznie nie jest, bo zwartość logiczną prawa uratowały po części królujące w XIX i XX w. doktryny. Na prawie karnym położył się cień liberalizmu i w obronie praw jednostki ludzkiej i jej wolności zamienił srogą represję karną wieków poprzednich, mającą wszelkie cechy etycznego potępienia danego czynu przez społeczeństwo, na jakąś niejasną mieszaninę represji prawnej, profilaktyki i wychowania przymusowego w stosunku do jednostki, wykraczającej przeciw przepisom, zagrożonym karą. Na prawie prywatnym odbił się zaś wszędzie interes elementu koczowniczego, dla którego cały świat stał się w ustroju wielkokapitalistycznym jedną wielką kuźnią produkcji i jednym wielkim rynkiem zbytu. Nad całym życiem gospodarczym narodów europejskich zapanowało prawo, cywilizacyjnie im na wskroś obce, dzisiejsze prawo handlowe, wekslowe, czekowe, bankowe, giełdowe, o spółkach akcyjnych itd., usuwając prawo cywilne - i tak zeświecczone przez recepcję prawa Justyniańskiego - na drugi plan i dające przed nim pierwszeństwo tam nawet, gdzie prawo handlowe nic nie stanowi... zwyczajowi handlowemu, a więc pierwszemu, lepszemu gałgańskiemu zwyczajowi, panującemu wśród geszefciarzy! Uroczysty, sakralny ongiś, charakter zobowiązania materialnego, został doszczętnie zniweczony tak samo, jak w codziennym życiu zaginęła wartość dawnego, rycerskiego słowa honoru. Rozluźnienie związku prawa z etyką dokonało się nawet w dziedzinie życia, najbardziej o charakterze narodu decydującej, w dziedzinie, normowanej przepisami z zakresu prawa małżeńskiego, rodzinnego i spadkowego.

Wyrazem skrajnym bezetyczności prawa i czysto formalnego waloru jego przepisów stało się „prawo rewolucyjne” bolszewickiej Rosji. Pogwałciło ono bez żadnych skrupułów wierzenia etyczne

i obyczaje rdzennej ludności i zostało oddane w całości na usługi koczowniczych, obcych Rosji, uzurpatorów i na usługi doktryn, które im spodobało się szerzyć. Zupełnie wolne od jakiegokolwiek związku z etyką rdzennej ludności (etyka - to przecież, zdaniem bolszewików, przesąd burżuazyjny), nie jest ono niczym w podstawach swych różnym od prawodawstw wielkokapitalistycznych państw, a jedynie poszczególnymi swymi przepisami zadrażnia może mocniej, niż one, poczucie etyczne ludności chrześcijańskiej i jej obyczaje.

Po cóż prawo oderwano tak gruntownie od etyki chrześcijańskiej i obyczaju? Wydawałoby się przecież, że związek prawa z panującą w narodzie etyką umacnia normy prawne w pojęciach ludności, zapewnia lepiej, niż wszelkie groźby, ich poszanowanie! Niewątpliwie przecież normy prawne, zgodne z etyką i obyczajem rdzennej ludności, nie wymagają dla zapewnienia im posłuchu tyle policji i tyle „wymiaru sprawiedliwości”; są po prostu tańsze. Ale za to treść ich dogadza właśnie tylko rdzennej, osiadłej ludności, natomiast naraża na szwank interesy koczowników, z których zarówno ustrój wielkokapitalistyczny, jak i ustrój socjalistyczny uczynił element panujący. Przeciwność interesów materialnych i moralnych ludzi osiadłych i koczowników sięga tak głęboko, że każdy niemal przepis, dobry dla jednych, jest zły dla drugich. W lutym 1929 roku dr. Leo Bramson, prezes światowej organizacji żydowskiej „Ort” w Warszawie na konferencji z przedstawicielami prasy żydowskiej wyrzekł te znamienne słowa: „...Nasuwa się zajmujące zjawisko: różne zdobycze społeczne, każda dobra reforma państwowa, która jest pożyteczna dla innych obywateli, jest zła dla żydów”. (Der Moment Nr. 44 z 1929 r.). Czyż trzeba wyraźniejszego potwierdzenia moich dotychczasowych wywodów? Prawo jest dostosowane albo do życia i interesów rdzennej, osiadłej ludności, albo też do życia i interesów koczowników, eksploatujących chwilowo daną ziemię i jej ludność stałą. I nie da się tu wynaleźć żadnego mostu, żadnego złotego środka. Co jest dobre dla jednych, musi być złe dla drugich.

Prawo nowoczesne stało się w Europie chrześcijańskiej czynnikiem demoralizacji, gdyż osłabia instynkty etyczne, wyrobione przez wieki cywilizacji chrześcijańskiej. Wskutek tego w opinii ogółu przestało być sformułowaniem norm słuszności, a jego stosowanie prawdziwym wymiarem sprawiedliwości. Stało się czymś, obowiązującym tylko formalnie, czego przestrzeganie wymusza się jedynie siłą czy grozą „skutków prawnych”, stało się martwą „literą prawa”. Przekroczenie jego przepisów - w opinii ogółu - jest czymś niemiłym w skutkach, nie jest jednak niczym niegodnym uczciwego człowieka; jeżeli prawo da się legalnie ominąć, jeżeli jakiś spryt adwokacki wykryje taką szczelinę, przez którą jego klient może się prześlizgnąć, to... wszystko w porządku; nikt nie dozna wyrzutów sumienia. Nawet intencja prawodawcy ukorzyć się musi przed wymową już zakrzepłej litery prawa wraz z jej wszystkimi dziurami, otwartymi dla spryciarzy.

W tych warunkach, gdy prawo całkowicie z samej zasady oderwane zostało od etyki, której hołduje rdzenna ludność osiadła i od jej obyczaju, gdy stało się czymś ugruntowanym li tylko na

formalnym uprawnieniu rządzących do tworzenia i zmieniania przepisów prawnych, hasło praworządności traci wszelki sens. Jest ono tylko wezwaniem do posłuchu wobec dowolności rządzących, który to posłuch i tak wymusza ich siła fizyczna, utrzymująca ich przy władzy. Dajmy jaskrawy przykład: kto z ludzi, obdarzonych zdrowym rozsądkiem, zrozumiałby hasło praworządności na tle ustroju i prawodawstwa bolszewickiego? A przecież ich prawo - to takie samo dobre prawo, jak wszelkie inne; tak samo, jak wszelkie inne, pozbawione związku z etyką i z obyczajem rdzennej, osiadłej ludności!

Prawo nowoczesne, którego jedynym oparciem w oczach ogółu osiadłej ludności jest siła rządzących i ich uprawnienie formalne do jego dyktowania, jedyną rękojmią jego przestrzegania obawa ludności osiadłej przed „skutkami prawnymi” i przed kryminałem - to jakby jeszcze jedna karta, położona na domku karcianym o chwiejnej równowadze, jakim jest ustrój państwowy, oparty na władzy, pozbawionej tytułu moralnego. Ustrój narodowy takie pojęcie prawa musi najzupełniej przekreślić i wyplenić doszczętnie. Tak, jak władzę musi oprzeć ponownie na tytule moralnym, tak samo i prawo musi przywrócić jego związek z etyką chrześcijańską i z obyczajem rdzennej, osiadłej ludności. Wtedy nie trzeba będzie tylu sędziów, policjantów i urzędników, a zdrowsze stosunki umożliwią zatrudnienie tych ludzi w pracy bardziej owocnej.

W ustroju narodowym zapanować musi ponownie naturalna hierarchia praw; prawa, oparte na poczuciu etycznym ludności osiadłej i na jej obyczajach muszą stać wyżej od przepisów etycznie i obyczajowo obojętnych, od zwykłych przepisów porządkowych. I wtedy, gdy w stosunku do pierwszych śmiało można stosować zasadę, że niezajomość prawa nie uwalnia od jego skutków, to w stosunku do drugich stosowanie takiej zasady w całej rozciągłości, nawet w wypadku najlepszej wiary nieobebranego z prawem, stałoby się jaskrawą niesprawiedliwością, uprzywilejowaniem podstępnego spryciarza, jak to tak często zdarza się w dzisiejszej praktyce. Pojęcie sprawiedliwości musi zostać ponownie uzgodnione z prawem, a wymiar sprawiedliwości musi stać się nim naprawdę. Żadne nadużycie wymiaru sprawiedliwości dla jakichkolwiek doraźnych celów narodowego rządu nie przyniesie nigdy skutków błogosławionych dla narodu, bo szkoda, jaką wyrządzi przez zachwianie poczucia etycznego wśród ludności i jej poczucia prawa, przerośnie zawsze wszelkie spodziewane korzyści. Dlatego to rząd narodowy nie ma żadnego uzasadnionego interesu, by kłaść tamę niezależnemu wymiarowi sprawiedliwości, by nastawać na niezależność sądów.

W ustroju narodowym ustawodawcy zapominać nie wolno ani na chwilę, że prawo - poza swoją normalną funkcją życiową - pełni także w narodzie doniosłą rolę wychowawczą. Dobre prawo umacnia instynkty, wyrobione wśród ludności rdzennej przez wieki życia osiadłego, wiąże tę ludność silniej z jej narodowym państwem, daje jej ramy życia zdrowsze i do jej potrzeb dostosowane; ramy te, zrozumiałe w swych istotnych zarysach, nie krępują jej, lecz owszem dodają jej poczucia pewności. Poczucie prawne, uzgodnione z poczuciem etycznym, z poczuciem prawdziwej

sprawiedliwości, stwarza dopiero szczere pragnienie praworządności; pragnienie to bowiem może być szczere jedynie wówczas, gdy obowiązujące prawo nie rodzi buntu, nie natrafia na instynktowny sprzeciw ludności osiadłej. Dla koczowników tęsknota za praworządnością jest czymś niezrozumiałym; dążenie do stałości urzędów jest bowiem całkowicie obce ich duszy.

Wychowanie publiczne w służbie idei

Wiek XVIII najżywsze zainteresowanie poświęcił szkolnictwu. Dzieło „oświecenia”, dzieło wytopienia „przesądów” chrześcijaństwa nie dałoby się przeprowadzić bez owładnięcia duszami młodych pokoleń, bez wyrwania szkolnictwa z rąk duchowieństwa. Dopiero dorwawszy się do kuźni, w której wykuwa się młode dusze, dopiero ukształciwszy je wedle własnej recepty i własnych doktryn, mogli kierownicy wolnomularstwa liczyć na to, że dostaną pod swój wyłączny wpływ element najruchliwszy i przygotowany do rewolucyjnego zadania, jakie mu przeznaczyci. Toteż drugą połowę XVIII w. wypełnia w krajach katolickich walka ze szkołą klasztorną, w której rozwiązanie Zakonu Jezuitów i przejście jego szkół jest aktem rozstrzygającym. Szkolnictwo przechodzi w ręce państwa, a przez to w ręce łóż masonskich. Odtąd wychowanie szkolne staje się orężem w dłoni międzynarodowego spisku w walce z ancien regime'em. Zawołaniem demokracji i liberalizmu staje się zeświecczenie szkoły, jej „sekularyzacja”, jej bezreligijny charakter. Zadaniem jej w zamiarach jej reformatorów - to przede wszystkim tak nastroić młode umysły, by wyzuły się z wszelkich wierzeń religijnych, z wszelkich „przesądów”, by w miejsce Boga ubóstwiły rozum ludzki. W ten sposób z młodego pokolenia wyrosną czynne zastępy „postępu”. Odtąd w mury szkolne wdała się zuchwale propaganda, mająca na oku cele niedwuznacznie polityczne: zdobycie i zapewnienie władzy wolnomularstwu i jego „Nieznany Przełożonym”.

Akcja sekularyzacji szkolnictwa od początku szła na przekór wpływowi wychowawczemu rodziny. Przecież o to właśnie chodziło, by młode pokolenie urobić na swoją modłę, według własnych doktryn. Rodzina jako ostoja „zacofania”, była w takim dziele tylko zawadą. Albowiem „starzy” już nawet w średniej warstwie szlacheckiej niechętnie rozstali się z wierzeniami swych pradziadów; cóż dopiero w warstwach społecznie niższych! Długotrwały opór, jaki Wanda postawiła rządowi rewolucji francuskiej, był wymownym tego dowodem. Toteż sekularyzacja szkolnictwa wszędzie natknęła się na bierny opór ludności, co wyraziło się ogromnym spadkiem frekwencji w szkołach we Francji, a w Polsce za czasów działalności Komisji Edukacyjnej doprowadziło nawet do tajnego nauczania. W okresie Wielkiej Rewolucji francuskiej projekty Robespierre'a do złudzenia przypominają już reformy szkolne dzisiejszej bolszewickiej Rosji: odebranie dzieci rodzicom i przymusowe kształcenie ich w państwowych internatach koedukacyjnych.

W zakresie wyższego szkolnictwa zawołaniem liberalnej demokracji stała się „wolność nauki” i „wolność nauczania”, czyli - mówiąc językiem mniej napuszonym - wolność wszelkiej propagandy. W zrealizowaniu tego hasła katedry uniwersyteckie otwały się w całej Europie dla „braci”, apostołów doktryn lożowych, a zastępy uczniów, które chciwie pochłaniały głoszone im nowinki, dostarczały najzarliwszych agitatorów węglarstwu, temu bojowemu odłamowi wolnomularstwa, a potem w drugiej połowie XIX w. socjalizmowi.

Od pierwszych momentów sekularyzacji szkolnictwa loże zwróciły najbaczniejszą uwagę na szkoły elementarne, powszechne. Tutaj zadaniem podstawowym stało się przysposobienie odpowiednich nauczycieli, których przeznaczeniem miało być nie tyle powierzone ich opiece dzieci czegoś nauczyć, ile raczej wychować w duchu wskazanych im doktryn. W tym celu musieli nie tylko dawaną w szkole naukę oblewać tendencyjnym sosem, ale także częstokroć walczyć z tym, co dziecko wynosiło z domu, zmagać się z wpływem rodziny, mącącem kierunek „wychowania państwowego”. Wojna z rodziną przybrała jeszcze jaskrawsze formy od chwili, gdy na arenę wystąpił ruch socjalistyczny, głoszący jej jawnie zagładę jako „przeżytkowi burżuazyjnemu”. Odtąd wpływ socjalistów na rządy w poszczególnych krajach, a nadto pociągnięcie nauczycielstwa w szeregi partii socjalistycznych, spowodowały ostateczny wyłom w opinii ogółu, czyniąc uprawnienie szkoły do poprawiania wpływów rodziny, a nawet do przeciwdziałania jej wpływom, czymś powszechnie uznanym, jakimś stanem normalnym. Dzisiaj po prostu najbardziej oddany swej pracy nauczyciel zdziwiłby się wielce, gdyby mu nagle powiedziano, że zadaniem szkoły jest przede wszystkim uczyć, a w zakresie wychowania co najwyżej współdziałać z rodziną tam, gdzie ona samoistnie nie zdoła podołać temu zadaniu, zaś zastępować ją jedynie tam, gdzie ona tych zadań wcale nie wykonywa.

Celem wychowania w szkole państwowej w ustroju demokratycznym stało się urobienie z wychowanka „obywatela”. Co to miało znaczyć? Ot po prostu polegało to na wpojeniu w wychowanka zrozumienia, że urodził się człowiekiem wolnym i prawa polityczne otrzymał w zapłacie za zrzeczenie się części tej wolności na rzecz „stanu społecznego”. Następnie należało mu wyperswadować raz na zawsze, że wszelkie „przesady” religijne są „hańbą dla rozumu wolnego człowieka”. Wreszcie trzeba mu było wpoić przeświadczenie, że wszyscy ludzie są między sobą równi, że pochodzenie nie znaczy nic, że – jednym zdaniem – nie wolno nikogo traktować gorzej dlatego tylko, że jest obcy, bo urodził się z rodziców innej rasy.

Ale nawet państwa, dalekie ustrojem swym od liberalnego demokratyzmu, żyjące raczej jeszcze duchem „oświeconego absolutyzmu”, jak przedwojenne Prusy, poszły wyraźnie po linii „wychowania państwowego” i urabiania w szkole „obywatela”, „Drill” przedwojennej, pruskiej szkoły stał się sławny na cały świat, jako symbol zamiany szkoły na rodzaj koszar umysłowych, gdzie za nauczycielem, jak za podoficerem, uczniowie chórem powtarzali podane im do wierzenia nauki.

„Wychowanie państwowe” w szkole doprowadziła do ostatniej jaskrawości dopiero bolszewicka Rosja, realizując pomysły Robespierre’a w Marksistowskim sosie. Tam jakikolwiek wpływ rodziny wykreślony został najgruntowniej; ostatnie ślady „przesądów religijnych” i wszelkich innych „przesądów burżuazyjnych” doszczętnie wyprane; nie tylko całe nauczanie, ale nawet cała nauka ściśle uzgodniona z wymogami rządzących i ich doktryny; najlżejszy cień jakiegokolwiek opozycji przeciw klice rządzącej i jej systemowi wypleniony z korzeniem.

Szkoła stała się wszędzie narzędziem w ręku rządzących w takim stopniu, na jaki pozwolić sobie mógł rząd danego państwa. W rezultacie przez pochłonięcie nauczycielstwa zadaniami pseudowychowawczymi musiał się obniżyć poziom nauczania, pomimo naturalnych postępów, jakie poczyniła dydaktyka poszczególnych przedmiotów, szczególnie w zakresie elementarnym. Za to rządy, oparte na sile, oddają się rozkosznemu marzeniu, że mogą spać spokojnie. A tymczasem nawet w bolszewickiej Rosji, a cóż dopiero gdzieindziej, rządzące międzynarodówki siedzą na wulkanie, podmyte prądem odrodzenia poczucia moralnego i narodowego wśród rządzonych. Prąd ten - wbrew oficjalnym tendencjom szkoły - porywa z żywiołową mocą za sobą właśnie jej wychowanków, właśnie zastępy najmłodszych.

Nowoczesna szkoła państwowa, wraz z jej „wychowaniem państwowym” stała się z założenia swego całkiem bezideowa. Nie budzi w wychowankach miłości do żadnego celu wyższego, co najwyżej szczepi w ich umysłach doktryny, dogodne dla rządzących i usiłuje w nich wpoić kult dla chwilowych urzędzeń w państwie. Cóż w tym zresztą dziwnego? Jakąż ideę mogłaby wpajać szkoła dzisiejsza, otwarta w zasadzie dla wszystkich, dla swoich i obcych, dla chrześcijan i żydów? Jakąż ideę mogliby wspólnie szczepić nauczyciele, rekrutujący się Bóg wie skąd, ludzie z poczuciem narodowym obok adeptów międzynarodówek, chrześcijanie obok żydów? Czy w takim składzie ciała nauczycielskiego i w takim mieszanym składzie uczniów możliwe jest jakieś wychowanie inne, jak tylko oderwane od wszelkiej etyki religijnej i wszelkiej idei pozbawione? Nie zaradzi temu poczucie narodowe pewnej części nauczycielstwa ani istnienie instytucji katechetów szkolnych! W takich warunkach wychowanie szkolne może czynić zadość tylko jakimś wymogom formalnym, może ziać kultem dla istniejącej w państwie władzy i jej urzędzeń, ale nawet tę swoją misję pełnić będzie obłudnie, bo nikt oczywiście z personelu nauczającego nie wierzy sam, jakoby - jak w to ongiś kazano wierzyć Wilhelmowi Tellowi - kapelusz, zawieszony na drągu, reprezentował cesarza i zasługiwał na pokłon.

Tylko szkoła narodowa może być dobrą szkołą dla narodu osiadłego. Przecież naród osiadły ma swoje wierzenia i swoje historyczne instynkty. Z nimi, z religią, z etyką i obyczajem narodu dobra szkoła musi żyć w zgodzie, jeżeli pragnie posiadać jakąś ideową treść i ożywić nią tak ogół uczących, jak i ogół swych uczniów. Połączenie w jednej szkole elementu osiadłego z elementem koczowniczym, elementu chrześcijańskiego z elementem żydowskim tak w składzie gron nauczycielskich, jak w składzie uczniów, pierze szkołę do czysta z wszelkich kwalifikacji do ideowego, pozytywnego oddziaływania, do szerzenia miłości do czegokolwiek, a - godząc z konieczności w etykę i obyczaje ludności osiadłej - musi rozkładać i budzić sprzeciw instynktowny. Dlatego to „wychowanie państwowe” nie daje spodziewanych wyników ani w Polsce, ani nawet we Francji, gdzie ogół młodzieży nastroja się coraz mocniej przeciw panującym rządóm demokratyczno-liberalnym na przekór „wychowaniu państwowemu”.

Tylko szkoła, odpowiadająca etyce i obyczajom ludności osiadłej może liczyć na rzetelne współdziałanie z rodziną. Walka z rodziną i z jej wpływem wychowawczym, tak częsta w dzisiejszej szkole - to w przeważającej większości wypadków nie wynik zaniedbania zadań wychowawczych przez dom, lecz tragiczne nieporozumienie, wynikłe stąd, że bezideowa szkoła godzi niejednokrotnie nieświadomie w etykę i obyczaje osiadłej ludności, a wskutek tego ludność ta widzi w niej tylko dodatkowy ciężar i przymus.

W ustroju narodowym zadaniem szkoły jest służyć potrzebom własnego narodu, nie zaś żadnych „obywateli”; umacniać w nim instynkty osiadłości, to - poza jej dydaktycznym przeznaczeniem - jej główne zadanie wychowawcze. Ale miłości do ziemi rodzinnej, do dziejów własnego narodu nie budzi się przymusem ani kazaniem, wygłaszanymi przez takich apostołów, którzy sami nie czują tej miłości, lecz prawią tylko piękne słowa zawodowo, dla kawałka chleba. Aby w kimś drugim, zwłaszcza w dziecku, rozpaścić płomień uczucia, trzeba samemu żyć w ogniu. Własnej, żywej wiary nauczyciela nie zastąpi ani demagogia, ani pedagogia; to tak, jak odbite światło, które jarzy się sztucznym blaskiem, ale nie grzeje i pożaru nie wzniesi.

Nic tak nie wiąże ludności osiadłej z jej ojczyzną, jak dobra szkoła. Dobra szkoła - to przede wszystkim taka, która dobrze wykonywa swe zadanie dydaktyczne. Dobra szkoła - to dalej taka, która kierunek zgodny jest z etyką i obyczajem osiadłego narodu. Dobra szkoła - to wreszcie taka, która towarzyszy dojrzałemu człowiekowi przez życie najmiłszym wspomnieniem, a więc szkoła, z której wynosi ciepło idei. Dobra szkoła - to w końcu taka, której personel nauczycielski pełni swą misję z wiarą i z ochotą, nie zaś pod przymusem i tylko dla chleba. Jakżeż nam dzisiaj do tego daleko!

Szkoła - to nie koszary. Jej zadanie dydaktyczne nie ma z ukształceniem żołnierza nic wspólnego; swego zadania wychowawczego nie wypełnia ona wcale przez utrwalanie w wychowanku czegoś na kształt karności wojskowej. Od dawania tego wykształcenia wojskowego i od budzenia tych cnót wojskowych jest właśnie wojsko, ewentualnie przysposobienie wojskowe. Szkoła natomiast musi rozwijać w wychowanku ten, wolny od zmechanizowania, stosunek człowieka do wierzeń, instynktów i obyczajów narodu, budzić w nim naturalną dumę, że jest członkiem narodu osiadłego, mającego za sobą tysiąclecie samodzielnej historii i spuściznę bogatej cywilizacji.

Szkoła narodowa nie może być czymś, oderwanym od całego życia narodu; nie wolno nigdy zapominać, że szkoła nie działa w powietrzu, a młode pokolenie nie żyje na księżycu. I dlatego prawdziwy polityk narodowy musi sobie zdawać sprawę, że cała treść życia publicznego oddziaływa nader silnie wychowawczo na młode pokolenie; podnosi je przykładem i zachętą, albo demoralizuje. Nonsensem byłoby szczepić w szkole szczytne hasła i wpajać wielkie idee, a w polityce, w życiu publicznym dopuszczać się świństw i tolerować nieuczciwy stosunek do narodu; tym bardziej parodią wychowania ideowego byłoby, gdyby polityk pozwalał sobie na zachęcanie młodych własnym, głośnym przykładem do jawnego lekceważenia etyki i obyczajów swego narodu; drwiłby z

wychowawczych zadań rządzących, kto by tworzonym przez siebie prawem deptał instynkty, etykę i obyczaje rdzennej ludności osiadłej. W takich warunkach nawet najlepsza, najbardziej ideowa szkoła zawisłaby w próżni.

Zakończenie

Było to w roku 1906. Jako młodziutki student lwowskiego uniwersytetu, zostałem zaproszony na studencki podwieczorek, urządzany w jednym z lokali lwowskich przez młodzież postępowo - socjalistyczną. Zebrało się kilkadziesiąt osób, studentów i studentek; nastrój bardzo miły, towarzysko ujmujący. Dość znaczny procent uczestników stanowili Żydzi i Żydówki, przyznający się do polskości, tzw. wówczas „Żydzi - Polacy”. Nikogo to nie dziwiło, bo przecież w tym czasie „asymilacja” Żydów była hasłem dnia we wszystkich obozach, nie wyjmując ówczesnej narodowej demokracji, którą - między innymi - reprezentowało w parlamencie wiedeńskim od r. 1907 kilku posłów „Żydów - Polaków”, jako przedstawicieli rozwijającego się ruchu wszechpolskiego. Brzmi to dzisiaj, jak rzecz nie do wiary, ale podówczas - powtarzam - nie raziło nikogo.

Zebranie było - jak dziś to rozumiem - przeznaczone dla zrobienia odpowiedniego nastroju wśród nowo wstępujących studentów i studentek. Ale trzeba przyznać, że zrobiono je zgrabnie i atmosfera serdeczności, jaką potrafili wytworzyć przywódcy ówczesnych młodych postępowców i socjalistów, nie mogła być kłamana. Hasłem podwieczorku było - w myśl zapowiedzi inicjatorów - zerwanie z „przesadami” towarzyskimi, dzielącymi od siebie obie płci. Muszę stwierdzić, że na ogół propaganda ta znalazła wyraz kulturalny, niemniej jednak - jak na owe czasy we Lwowie - była czymś dość świeżym i miała swój urok dla świeżo upieczonych studentów i studentek. Toteż lody zostały przełamane z zadziwiającą łatwością. Aby umocnić ten nastrój i dać mu głębszą podstawę, wystąpił jeden z przywódców młodzieży socjalistycznej, z niezmiernie zajmującym referatem o biesiadach renesansu. Roztoczył przed słuchaczami pociągający, wielobarwny obraz pięknego wyuzdania renesansowych uczt, przy czym - już wtedy badacz tej epoki - popisał się szeroką znajomością faktów i źródeł, dając swej uwodzącej prelekcji półnaukowy charakter. Jakże marnie, jak niepoważnie, jak nieestetycznie wyglądały w blasku jego opowieści zakamieniałe „przesady” pruderii, jak bezsensownie jakieś ascetyczne zamiary oddawania życia na usługi idei! Cóż mogło bardziej wabić, jak używanie życia w sposób piękny i niekrępowany niczym, chyba tylko epikurejskim umiarem?

Dyskretne obrazowanie mówcy, aluzje i półcienie, półsłówka i półżarty, kryły w sobie czar pokusy, podanej w sposób artystyczny i sugestywny. Toteż burza oklasków nagrodziła prelegenta za jego słowa.

Nastąpiły deklamacje i produkcje wokalne. I te nie były improwizowane, lecz niewątpliwie przygotowane z góry przez organizatorów podwieczorku. Wycieczki dowcipne przeciw Kościołowi, duchowieństwu i religii mogły temu i owemu mniej smakować, ale w owym okresie indyferentyzmu religijnego nie były dla nikogo kamieniem obrazu. Aż na końcu jakiś student wystąpił z piosenką o pochodzie narodowym w Warszawie. Świeże wspomnienia tych chwil niezwykłych, jakie podówczas

przeżywała Warszawa, a z nią cała Polska, miał w pamięci każdy, kto czuł po polsku. Parodia pochodząca z 1905 r., podczas którego kilkuset tysięcy tłum na wieść o wybuchu rewolucji w Petersburgu manifestował na ulicach dawnej polskiej stolicy na rzecz niepodległości Polski, wywołała protesty u niektórych uczestników podwieczorku, mało jeszcze wyzwolonych z narodowych „przesądów”. Rozpętała się burza, przyszło do ostrych wzajemnych przycinków, a w wyniku zajścia pewna liczba gości opuściła salę. Uwodząco miły nastrój rozprysł się, zniweczony ukazaniem prawdy.

Jakiej prawdy? Jeżeli dzisiaj przytaczam to wspomnienie z moich młodzińskich lat, to dlatego, że widzę w nim ujawnienie się pierwszych zarysów konfliktu między spuścizną XVIII i XIX w., a tym, co miał później przynieść wiek XX. Zanalizujmy, co właściwie zaszło na tym podwieczorku, co zamąciło „estetycznie wyzwoloną” zabawę i zatarło za jednym zamachem wrażenie mistrzowskiego odczytu? Oto ukazano niespodzianie, a wskutek tego brutalnie, konsekwencje, do jakich wiedzie w ostatecznym rezultacie kult używania życia i wyzwolenie się z religijnych i obyczajowych „przesądów”. Dzięki niefortunnemu występowi piosenkarza musiał odczuć każdy, że wyzwolenie to prowadzić musi do szybkiego podeptania wszystkiego; do potargania więzów rodzinnych, odrzucenia pojęć o honorze, a nade wszystko do przekreślenia wszelkich sentymentów dla „ojczyzny”. A tymczasem te sentymenty tkwiły jeszcze w niektórych duszach instynktownie, głęboko wrosłe i zakorzenione mocno. Piosenkarz targnął się na te najgłębsze instynkty i wywołał odruchowy sprzeciw tak silny, że cały, misternie wywołany, nastrój rozwiął się od razu. Były rzeczy, których nie wolno było bezcześcić nawet w okresie panowania filozofii Nietzschego i kultu wyzwolonego „nadczołowieka”. Zresztą - trzeba stwierdzić - reakcja nie była powszechna i objęła tylko skromną liczbę obecnych. Wśród tych, którzy opuścili salę, nie było ani jednego Żyda czy Żydówki, ale naówczas nikomu z nas nie przyszło do głowy, by się nad tym zastanawiać.

Jakżeż daleko jesteśmy dzisiaj od podobnych epizodów w życiu młodego pokolenia! Któż - poza jakimiś zakrytymi kołami wyuzdanych zwyrodnialców - ośmieliłby się w szerokim kole młodych Polaków, bez względu na ich przekonania polityczne, apoteozować piękną rozpustę i żądzę używania? A nade wszystko, któżby mógł dziś organizować zebrania studenckie polsko - żydowskie, przeznaczone na przełamanie lodów, dzielących obie płci i - jakbyśmy dziś stwierdzili - obie rasy i cywilizacje?

Wiele się zmieniło, bardzo wiele. Rzeczy, naturalne przed trzydziestu laty, dziś wydają się bajką z zamierzchłej przeszłości, wspomnieniem z epoki bardzo odległej. Dziś ludzie, którzy wówczas nie wyszli z sali, znaczą w Polsce bardzo wiele. Może przecie niektórzy dziś czują i myślą inaczej? Ale na pewno nie wszyscy.

Świat XVIII i XIX w. sam doprowadził się do absurdu. Z poza pięknej szaty renesansu wyrzało wymalowane, zniszczone oblicze ulicznicy. Z poza uroku estetycznie wyuzdanej biesiady wychyliła się pożoga wojny światowej i groza zwierzęcej rewolucji rosyjskiej. Z poza żądy używania życia wynurzył się ponury cień światowego kryzysu i bezrobocia. Z poza zuchwałych porywów „nadczołowieka” ukazało się widmo człowieka - maszyny, niewolnika bez duszy.

Świat chrześcijański zatoczył się pod ciężarem nieubłaganych wyników, do jakich doprowadziły ponętne doktryny. Co słabsze poszło dalej drogą tak nagminnego kiedyś, ironicznego sceptycyzmu z tą odmianą, że ironia swawolna przedwojennych czasów nabrała dzisiaj posmaku goryczy, bo przeżywana rzeczywistość zaprawiała ją dozą tragizmu, albo cynizmu. Co mocniejsze, zerwało się i patrzy rozszerzonymi oczyma w przeszłość niedawną i zadaje sobie pytanie : jak to się stało, jak to być mogło, że my, spadkobiercy cywilizacyjni wojen krzyżowych, walk z Turkami i Tatarami w obronie idei, daliśmy się tak odurzyć, tak daleko poprowadzić po drodze moralnego rozkładu? Całe szczęście, że przyszły wstrząsy potężne, które odrzuciły na bok powierzchowne warstwy zgnilizny i odsłoniły pokłady instynktów, jeszcze nienaruszonych i żywych!

To się stało w powojennej Europie. W mniejszym lub większym stopniu stało się wszędzie, we wszystkich narodach o cywilizacji chrześcijańskiej. Dlatego to, jako naturalny wynik odbywającego się procesu, obcy nam cywilizacyjnie i moralnie element żydowski wysuwa się poza ogrodzenia naszego życia. To nie żadna „ślepa nienawiść rasowa”, lecz prosty wynik ocknięcia się i uświadomienia sobie własnej treści i swych praw na własnej ziemi.

Jesteśmy świadkami prawdziwego odrodzenia. Pryśł czar ułudnych doktryn, odżywa siła duchowa idei. Narody tęsknią do chwil, w których to, co będą przeżywać, wyzwoli skarby entuzjazmu. Kunsztowny gmach nauk XVIII i XIX w. rozsypuje się w naszych oczach, jak nietrwałe próchno. Do okna zapukały zjawy nowej epoki, w której życie będzie może twarde, ale dusze czystsze i szlachetniejsze, a myśli... zdrowsze.

Pragnę z całego serca, aby książka moja stała się tego wyrazem.



Tadeusz Gluziński – (ur. 1888) Działacz narodowy, jeden z głównych ideologów narodowego radykalizmu. Pochodził z Krakowa, związany od młodości z endecją, był działaczem Zetu i członkiem Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Po odzyskaniu niepodległości angażował się w działalność Związku Ludowo-Narodowego. Na początku lat 20. XX wieku opublikował w „Gazecie Warszawskiej” cykl artykułów pt. „Zmierzch liberalizmu”, którego przesłanie zwiastowało radykalne poglądy późniejszych „młodych”. W kwietniu 1934 r. Gluziński był jednym z sygnatariuszy deklaracji Obozu Narodowo-Radykalnego. Został członkiem Wydziału Wykonawczego Komitetu Organizacyjnego ONR. Po delegalizacji ruchu aresztowany. Później Gluziński był jednym z przywódców Obozu Narodowo-Radykalnego ABC i głównym ideologiem środowiska. W 1937 r. bezskutecznie działał na rzecz współpracy zwaśnionych odłamów ruchu narodowego: ONR-ABC, Ruchu Narodowo-Radykalnego i „młodych” Stronnictwa Narodowego. W czasie II wojny światowej działał w konspiracyjnej Grupie „Szańca”. Zmarł 7 lutego 1940 r., na skutek choroby, której nabawił się podczas przekraczania granicy ze Słowacją, w drodze na Węgry. Miał wówczas nawiązać kontakty z władzami polskimi na emigracji.

Tadeusz Gluziński napisał „Odrodzenie idealizmu politycznego” w 1935 r. Praca ta jest uznawana za jedną z najważniejszych w dorobku środowiska ONR-ABC. Autor zawarł w niej wieloaspektową krytykę liberalizmu i innych powstałych na gruzach przedrewolucyjnego świata ideologii. Te – zdaniem autora – prowadziły narody do upadku, stanowiąc z punktu widzenia chrześcijańskiego nacjonalizmu czynnik wybitnie szkodliwy. Gluziński proponował więc odrzucenie spuścizny XIX wieku.



**Cyfrowa Biblioteka
Myśli Narodowej**